

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 45 (1196 ROK XXIII)

9 LISTOPADA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

**WŁODZIMIERZ
ILJICZ LENIN**

**PAŹDZIERNIK
1917**

25 października 1917 roku — według starego stylu — punktualnie o godzinie 2 w nocy, zgodnie z uprzednio przygotowanym planem, wybuchło w Piotrogradzie powstanie. Około godziny 13 okrażony został Pałac Zimowy, gdzie schronił się Rząd Tymczasowy. Wieczorem zebrał się II Zjazd Rad. Na czele rewolucji stanął Włodzimierz Lenin.

Chcemy pokazać postać Włodzimierza Lenina w świetle zapisu mu współczesnych oraz jego listów i notatek.

John Reed — „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”:

„Zjazd miał rozpocząć obrady o pierwszej i ogromna sala już dawno była wypełniona. O siódmej nie było jednak jeszcze ani śladu prezydium... Bolszewicy i lewicowi socjalrewolucjoniści obradowali w pokojach partyjnych. Przez całe to popołudnie, trwając wieczność, Lenin i Trocki walczyli z projektami kompromisowymi. Znaczna część bolszewików skłaniała się ku ustępstwu, aż do stworzenia ogólnego rządu socjalistycznego włącznie. „Nie utrzymamy się — wołali. — Zbyt wielu jest przeciw nam. Ludzi nie mamy. Odizolują nas i cała sprawa przepadnie!” W ten sposób mówili Kamieniew, Riazanow i inni.

Ale Lenin, a z nim Trocki, byli twardzi jak skała. „Niech ci, którzy chcą kompromisu przyjmą nasz program, a wieniasz będą mogli wejść w skład rządu. Nie ustąpimy ani na krok. Jeśli są to towarzysze, którzy nie mają odwagi na to, na co my się osmielamy — niech nas opuszczą wraz z pozostałymi tchórzami i ugodowcami. Mając poparcie robotników i żołnierzy, musimy trwać i będziemy trwali przy sprawie”.

Pięć po siódmej lewicowi socjalrewolucjoniści zawiadomili, że pozostają w Komitecie Wojskowo-Rewolucyjnym.

— Widzicie? — powiedział Lenin. — Idą za nami. (...)

Punktualnie o ósmej czterdzięci grzmiące okłaski przywitały wchodzące prezydium, w którym znajdował się wielki Lenin. Niewysoki, krępy, wielka tyśa głowa, mocno osadzona na barkach, małe oczy, duży, noc, szerokie szlachetne usta i wydatna szczeka. Na świeżo ogolonej twarzy ledwie zarysowała się tak dobrze znana brodka. W znoszonym ubraniu, w mocno przydługich spodniach, człowiek ten nie wyglądał na bóstwo tłumy ani na wodza kochanego i czczonego, jak chyba niewielu. Niezwykły to przywódca narodu, przywódca zawdzięczający wszystko własnemu intelektowi, pozbawiony wszelkiego pozerstwa, nie ulegający nastrojom, nieugięty, bezkompromisowy, nie uciekający się do żadnych efektownych chwytów — ale za to obdarzony wspaniałą umiejętnością objaśniania naglepszych idei najprostszymi słowami i wyjątkową zdolnością analizowania konkretnych sytuacji, łączący to wszystko z niepospolitą odwagą i ogromną przenikliwością.

Kamieniew odczytał sprawozdanie z działalności Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Zniesiono karę śmierci w armii, przywrócono prawo swobodnej propagandy, zwolniono oficerów i żołnierzy aresztowanych za przestępstwa polityczne, nakazano aresztować Kiereńskiego i konfiskować zapasy żywności w prywatnych składach... Huczne okłaski. (...)

Wreszcie na trybunę wszedł Lenin. Stał ścisnąc palcami krawędź pulpitu, małymi, mrugającymi oczyma wodził po tłumie i, najwidoczniej obojętny na szalejącą owację, czekał. Gdy po paru minutach uspokoiło się, rzekł po prostu:

— No, a teraz przystąpimy do tworzenia socjalistycznego ustroju! — Znów potężny entuzjastyczny ryk. — Pierwszą naszą sprawą będzie wybór praktycznych środków zrealizowania pokoju...

Mówiąc otwierał szeroko swe usta, co sprawiło wrażenie uśmiechu. Surowy głos o ostrym brzmieniu nie był przykry dla ucha. Po prostu odnosiło się wrażenie, że stwardniał w ciągu wielu lat długotrwałych przemówień. Jednostajne brzmienie wzbudzało przekonanie, że potrafiłby mówić wieki bez przerwy. Absolutnie nie gestykułował. Chcąc podkreślić jakiś zwrot lub wyraz pochylił się z lekka do przodu ku tyśom uwagą i uwielbieniem”.

Dalszy ciąg na str. 7



„Stare i nowe związki” (czytaj str. 4).

Foto: W. Matek

Dalszy ciąg na str. 5

„ODGŁOSY” — Przeprowadziła pani profesor wraz z dr Grzegorzem Matuszakiem badania socjologiczne wśród strajkujących załóg. Jak udało się państwu przebrnąć przez obowiązujące jeszcze przepisy i plany badań, w których nie było miejsca na penetrowanie tego typu zjawisk społecznych?

S. DZIECIELSKA — Uważaliśmy za nasz obowiązek opisać strajki jako zjawisko socjologiczne, którego dokładniejsza analiza może mieć znaczenie nie tylko teoretyczne, ale także charakter dokumentu historycznego.

G. MATUSZAK — Uważaliśmy, że odnotowanie tych spraw jest naszym obowiązkiem jako socjologów.

S. DZIECIELSKA — Nawet gdyby nasze badania i opisy nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego, to i tak uważam, że powinniśmy je przeprowadzić. Oprócz pobudek naukowych kierowała mną zwykła ludzka ciekawość. Strajki znałam z literatury historycznej, a w ciągu 35-lecia podawano sobie tylko na ucho, że w takich lub innych zakładach miały miejsce nie strajki, ale, jak to nazywano, przestoje w pracy. Kierowała więc mną ciekawość, poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: jak wygląda strajk? Jak do niego dochodzi? Tym bardziej, że strajk w zakładzie zamkniętym jest niedostępny dla osób z zewnątrz. Przystąpiliśmy więc do badań nie zważając na plany, problemy węzłowe, resortowe, nie dysponując żadnymi finansami.

G. MATUSZAK — Chcieliśmy po prostu dać

świadectwo prawdzie. Nasi informatorzy zgłaszali się do nas dobrowolnie, kierowani chęcią podzielenia się swymi opiniami i uwagami.

S. DZIECIELSKA — Korzystając z okazji chcielibyśmy im za to serdecznie podziękować.

ry, czy nie wpłynie na artykulację dodatkowych spraw, których do tej pory nie było. Obawy te okazały się płonne. Nasza obecność w nich nie zaszkodziła, ani nie pomogła strajkującym. Wyniki badań, w postaci pewnych

STRAJK W OCZACH SOCJOLOGÓW

Rozmowa z prof. dr hab. STEFANIĄ DZIECIELSKĄ
i dr GRZEGORZEM MATUSZAKIEM z Instytutu
Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego.

„ODGŁOSY” — Co przeszkodziło w przeprowadzeniu badań podczas trwania strajków?

S. DZIECIELSKA — We wszystkich zakładach byliśmy tuż po strajku. Chcieliśmy prowadzić badania w „Marchlewskim” podczas samego strajku, okazało się jednak, że była to sprawa nie do załatwienia.

G. MATUSZAK — Kierownictwa zakładów i ich władze zwierzchnie nie miały pewności czy obecność socjologów nie „podgrzeje” atmosfery,

uogólnień mogą natomiast okazać się pomocne dla zakładów w przyszłości.

„ODGŁOSY” — Podstawowe pytanie: czy robotnicy, zwłaszcza młodzi, wychowani po wojnie potrafili strajkować? A także czy w tej nowej sytuacji potrafili się znaleźć dykcja, organizacje polityczne i społeczne?

Dalszy ciąg na str. 4

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

ZAWÓD: DZIENNIKARZ

W społecznej debacie nad stanem naszego społeczeństwa coraz mocniej krytykuje się prasę, mając też na myśli radio i telewizję, a więc wszystkich nas, dziennikarzy. Prasę — używając tego określenia umownie — krytykuje się z różnych pozycji. Nie obce są też stwierdzenia, że „prasa kłamie”. Jedni więc zarzucają nam, dziennikarzom, że nie mówimy całej prawdy, że podajemy tę prawdę w sposób tendencyjny, ukrywając przed społeczeństwem niektóre fakty, komentując je niezgodnie z prawdą, że wreszcie niekiedy fałszujemy te fakty. Inni znów krytykują prasę w myśl hasła, że „prasa się rozszalała”, że odrabia zaległości za okres, kiedy uprawiała „propagandę sukcesu”, że teraz pisze się inaczej do czegoś, ani jako czytelnicy, ani jako ci, którzy decydują, nie są przyzwyczajeni. Prasę, radio i telewizję, czyli własną pracę, bardzo ostro krytykowali sami dziennikarze. Było tak w czasie obrad nadzwyczajnego zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, który odbył się w Warszawie w dniach od 29 do 31 października 1980 roku, a tak naprawdę to skończył się dobrze po północy, a więc już 1 listopada. Zjazd ten przyjął zmieniony statut SDP, określając w nim rolę i charakter zawodu dziennikarskiego. Oto cytat z projektu poprawek do statutu, stąd mogą być w nim sty-

Dalszy ciąg na str. 4

EUGENIUSZ
IWANICKI

GODZINY SZCZEROŚCI

W deszczowy i zimny dzień 27 października br. jechałem na spotkanie z kolejarzami ze stacji Łódź-Olechów. Parę dni wcześniej zjawili się ich czterech w redakcji i powiedzieli, że proces odnowy w lokomotywni idzie jak po grudzie, że mają trudności, i że ich cierpliwość jest na wyczerpaniu. „Musimy w końcu dokonać operacji, a tym samym uratować samych siebie”. Niewiele wówczas zrozumiałem, kolejarze byli podneczeni, przejęci i robili wrażenie gotowych na wszystko.

Na przełomie kwietnia i maja 1980 r. napisałem parę krytycznych artykułów o pracy stacji Łódź-Olechów. Posypały się wówczas protesty (ze strony organizacji partyjnych działających na stacji, które miały mi za złe, że nie uzgodniłem z nimi treści artykułów) oraz nadeszły listy przyznające mi rację (od licznych kolejarzy). Toteż jadąc teraz do Olechowa nie byłem pewny jak zostaną przyjęte.

W trzech ostatnich numerach „Od-głosów” opublikowaliśmy relację z dyskusji o stanie gospodarki komunalnej Łodzi, o przygotowaniu służb miejskich do zimy. Już w trakcie ukazywania się kolejnych odcinków dyskusji, prezydent miasta Łodzi — Józef Niewiadomski powiadomił redakcję, że również chciałby zabierać głos na temat gospodarki komunalnej miasta, tym bardziej że nie ze wszystkim zgadza się w poglądach, jakie na łamach tygodnika zaprezentowali nasi rozmówcy. Skorzystaliśmy z tej propozycji i obecnie publikujemy rozmowę z prezydentem miasta Łodzi, jaką przeprowadziła Bogda Madej.

ODGŁOSY: — Celem naszym, kiedy inicjowaliśmy cykl „Miasto przed zimą”, było przedstawienie stanu przygotowań służb miejskich do zimy. Wiele się na ogół słyszy o takich przygotowaniach, a później się okazuje, że „zima znów nas zaskoczyła”. Chcieliśmy więc pokazać, jak jest faktyczny stan przygotowań w tym roku. Okazało się jednak, że rozmowa ta pokazała w ogóle stan gospodarki komunalnej w mieście. Jeden z naszych dyskusyjantów, Józef Korosiński, powiedział słusznie, że „jak nie wyprzedzimy tej dziedziny gospodarki z impasem to przyczynimy się do całej całej gospodarki”. Pogląd ten można tylko uzupełnić, dodając, że równoznaczne jest to z pogorszeniem warunków życia łodzian. Niepokój nasz, niepokój mieszkańców Łodzi, nie jest równie i stad. Iż jesteśmy świadkami ogromnych trudności gospodarczych, kryzysu naszej gospodarki, a co za tym idzie, potrzeb oszczędzania. Zbyt daleko posunięte oszczędzanie w gospodarce komunalnej może spowodować jednak niebezpieczeństwa, o których synalizował nasz dyskusyjant, a których wszyscy się obawiamy — pogłębienia się kryzysu gospodarki komunalnej miasta.

JÓZEF NIEWIADOMSKI: — Po-dziękam obawę łodzian, bo wynikają one z troski o stan miasta i o warunki życia każdego z nas. Ale musimy jednocześnie uspokoić, że naszym celem jest utrzymanie tego, co do tej pory w gospodarce komunalnej uzyskali. A więc cofnięcia się, regresu, być nie może.

Zrobiliśmy przecież sporo i to, co posiadaliśmy dzięki inwestycjom w gospodarce komunalnej musi być utrzymane. Zbudowaliśmy wiadukty, drogi, położyliśmy kilometry uzbrojenia pod nowe budownictwo, zarówno w śródmieściu Łodzi, jak i w nowych dzielnicach. O tym czasami ludzie zapominają. Ale w domu mają ciepło, wodę bieżącą, gaz, elektryczność, mają drogi, parkingi, dojazd tramwajem czy autobusem. To są nasze osiągnięcia w rozwoju gospodarki komunalnej.

Znamy już założenia planu w gospodarce komunalnej na 1981 rok. Plan ten jest bilansowany na szczeblu centralnym, dlatego nie chcę wchodzić w szczegóły. Ale mogę powiedzieć jedno: rząd zapewnia, że w dwu dziedzinach nie będzie oszczędności — jeśli chodzi o nakłady na inwestycje w rolnictwie i gospodarce komunalnej. Mówił o tym również sekretarz KC, Kazimierz Barcikowski na ostatnim posiedzeniu Komitetu Łódzkiego partii. Tak więc nie ma niepokoju o to, że niezbędne oszczędności zatrzymają rozwój gospodarki komunalnej na pewien czas, przez co mogłyby ją daleko cofnąć. Powtarzam jeszcze raz: takiego niebezpieczeństwa nie ma.

— Nasz cykl „Miasto przed zimą” zaczęliśmy od rozmowy na temat stanu ciepłownictwa w Łodzi.

— Słusznie. Zimą najważniejsze jest to, aby w mieszkaniu było ciepło. — Zastanawialiśmy się nad tym, czy decyzja, że od nowego sezonu grzewczego w 1981 roku sieć ciepłownicza przejdzie w gestię miasta, w jakis sposób wpłynie na poprawę sytuacji. Paweł Walczak — dyrektor Zakładu Sieci Ciepłej — też miał w tej sprawie wątpliwości. A jakie jest zdanie pana prezydenta?

— Z uwagą przeczytałem te rozważania. Rozumiem obawy dyrektora Walczaka. On obawia się jednak wcale nie o sieć, a o place. Obawia się, żeby przechodząc z resortu energetyki pod zarząd miasta ludzie z ZSC nie stracili na placach. I to jest słuszną obawą. Tak stać się nie może. Musimy wspólnie znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale to jest zupełnie inna sprawa.

Czy coś się zmieni przy przejściu sieci ciepłej z gestii resortu energetyki w naszą gestię? Nie wiem. To musi pokazać praktyka. Wobec tego, można zapytać, po co to robimy? Bo nie możemy nadal tolerować takiej sytuacji, że piszemy do ministra energetyki i energii atomowej w sprawie rozwoju sieci ciepłownicz w mieście, a on nam odpowiada, że nie ma środków, bo buduje elektrownię. Za ciepło odpowiada energetyka, to jest własność ministerstwa energetyki i energii atomowej, ministerstwo to dostaje od nas pieniądze i zobowiązane jest do troski o rozwój ciepłownictwa. Ale — jak do tej pory — ta troska wychodzi nam bokiem. Wobec tego, czy wolno nam nadal patrzeć na takie traktowanie ciepłownictwa w mieście i nie robić? Nie wolno. Wobec tego podjęliśmy decyzję, że przejmujemy sprawę rozwoju sieci ciepłowniczej w nasze ręce.

— Dyrektor Walczak powiedział również, że Zakładowi Sieci Ciepłej potrzebne są, że minister obiecał limity inwestycyjne, a miasto miało dać wykonawcę. I że z tych obietnic się nie wywiązano.

— Bardzo szanuję dyrektora Wal-

czaka. To za niego człowiek i dobry dyrektor. Ale dziwię się, że nie zna zasad inwestowania w Polsce. To przecież nie miasto bilansuje możliwości produkcyjne przedsiębiorstw budowlanych. Przynajmniej do tej pory, bo my bijemy się o to i bardzo chcielibyśmy, żeby nam powierzono takie bilansowanie. Mamy bowiem w Łodzi znaczny potencjał produkcyjny przedsiębiorstw budowlanych, ale część tego potencjału wykorzystywana jest poza Łodzią. Co możemy zrobić w tej sytuacji? Możemy tylko wolać, żeby nam dali potrzebną inwestycję, żeby dali możliwości dla jej realizacji. Mogę interweniować. I to robimy.

Nie mogę natomiast oddać potencjału przedsiębiorstw budownictwa komunalnego, który skierowany jest na potrzeby remontowe miasta, dla

— To jest pomoc, a nie zastępowanie Zakładu Sieci Ciepłej.

— To jest pomoc. Zakład Sieci Ciepłej musi nadal zwiększać zatrudnienie w swoich przedsiębiorstwach. Ja bardzo uważnie przeczytałem to, co na ten temat powiedział dyrektor Walczak. Kazałem wszystkie sprawdzić. I muszę powiedzieć, że to nie jest prawda.

Jest przyjęta taka zasada, że priorytet w zatrudnianiu pracowników w mieście mają te działy, które obsługują ludzi: gospodarka komunalna, gospodarka żywnościowa, przetwórstwo i tak dalej. Tam się kieruje ludzi.

— Ale też ludzi nikt nie zmusi, aby szli pracować tam, gdzie ich nie chcą.

— To już zależy od ludzi. Jeśli ZSC zwerbują ludzi do pracy, to Wy-

żeby nie było odsyłania do kolegi i zwalania winy i odpowiedzialności na kolegę. Mamy inżyniera województwa, który zajmuje się koordynacją działania służb miejskich, mamy podział miasta, który w razie śnieżyce jest już planem działania, wiadomo kto i co ma robić, za co odpowiada. Bo to jest też sprawa dostaw żywności, mleka, benzyny do miasta. Tutaj wszystko trzeba przewidzieć, przygotować się na każdą ewentualność. I to już mamy od 1979 roku. Jest to niewątpliwie wynik tamtego słynnego zaskoczenia.

— Nasi rozmówcy powiedzieli otwarcie i myśle, że to bardzo dobrze, bo łodzianie po prostu muszą znać prawdę, że są przygotowani do średniej zimy.

— Ze względu na ilość i jakość sprzętu, którym dysponują. Nawet najlepszy, najbardziej precyzyjny plan będzie tylko życzeniem, jeśli nie będą za nim stały środki do jego realizacji. A tu sprawa jest znacznie gorsza. Na przykład: wiadomo, że w razie śnieżyce różne przedsiębiorstwa muszą pomagać MPO, oddając do dyspozycji MPO swoje samochody. Nie można przez całe lato trzymać samochodów na placu, żeby czekały na zimę. Dlatego korzystamy z samochodów obcych. Wiadomo również, że samochody z różnych powodów psują się, bo brakuje opon, brakuje akumulatorów, części zamiennych. Bywało, że ktoś miał dać 5 samochodów, które mają zainstalowane uchwyty do zakładania pługów. Ale z tej piątki cztery samochody stały zepsute. Dlatego zwróciliśmy uwagę przedsiębiorstwu, że jak mają dać pięć samochodów, to niech uchwyty instalują na dziesięciu. To pozwoli dać taką ilość, jaką zaplanowaliśmy. I to się robi.

— Czy przedsiębiorstwa chętnie oddają swoje samochody do dyspozycji MPO?

— Nie zdarzyło się jeszcze, aby odmówiono. Jeśli nie mogą spełnić swoich zadań, to tylko ze względu na stan techniczny tych samochodów, na ich niesprawność.

— W zakładach pracy zwracano uwagę, że oczyszczanie skrzyżowań przez nich jest nieporozumieniem, bo to nie ich rola.

— A czyja? Obowiązujące przepisy nakładają na każdego właściciela posesji zadanie sprzątnięcia śniegu sprzed jego posesji do połowy jezdni nawet. I nikt nikogo z tego obowiązku nie zwolnił. Nie wymagamy już od wszystkich sprzątnięcia do połowy jezdni, bo to robią maszyny. Ale chodniki muszą być sprzątane. A od zakładów wymagamy, aby sprzątały też wyznaczone skrzyżowania. Nikt nikomu nie robi laski. Jest to tylko wypełnienie obowiązku.

— W przyszłym roku będziemy mieli wszystkie wolne soboty. Czy to pana nie niepokoi?

— Bardzo. Z doświadczenia wiem, że najtrudniejszą zimą jest z niedzieli na poniedziałek. Ale musimy sobie i z tym poradzić.

— Wprowadzić dyżury domowe.

— Tak. Trzeba będzie za to płacić. Innego wyjścia nie widzę.

— W trudnych sytuacjach pomaga zwykłe wojsko.

— Nie tylko wojsko, ale też milicja, OHP. Ale to w trudnych sytuacjach. A nam potrzebny jest dobrze funkcjonujący system, który gwarantowałby, że mimo wolnej soboty i niedzieli mamy gotowych do podjęcia pracy tyle ludzi, ile będzie potrzeba. I taki system musimy stworzyć.

— Czy można liczyć, że będzie więcej sprzętu potrzebnego miastu do walki ze śniegiem, do utrzymania sprawności komunikacji i dobrego stanu dróg?

— Spodziewamy się, że sytuacja zmieni się w przyszłym pięcioletciu. Bardzo na to liczymy. Teraz więcej sprzętu dostać nie możemy, bo go nie ma.

— Kiedyś te sprawy załatwiał dozorca z miotłą.

— Ale to były inne warunki i inne miasto. Kiedyś ludzie szukali pracy i godzili się na najcięższą, aby ją tylko mieć. Nie było kłopotów z dozorcami. Dziś są. Około 60 procent zatrudnionych gospodarzy domów to kobiety. A to jest bardzo ciężka praca. Często niesłusznie krytykuje się gospodarzy domów. Dziś nie ma tak, że na jedną posesję przypada jeden dozorca, bo nie ma ludzi. Załmują się więc kilkoma posesjami, czasem nawet pięcioma.

— Jakże pan widzi wyjście?

— Trzeba będzie przejść na samoobsługę. Lokatorzy będą musieli sami na przykład sprzątać klatki schodowe, tak, jak to się już robi w NRD czy Czechosłowacji. I nie dlatego, że tak się władzom miasta podoba, bo komuś przyszedł do głowy taki pomysł, ale dlatego, że nie ma ludzi, którzy chcieliby taką pracę się zajmować. Ja wiem, że to jest nieprzyjemny, dodatkowy kłopot, że ludzie są zmęczeni, mają wiele innych

obowiązków, ale innego rozwiązania nie widzę.

— Ostro krytykowany jest system przyjmowania nowych bloków mieszkalnych, który nie gwarantuje, że są one dobrze wykończone. Później ujawnia się wiele usterek, przemierzają szczyty. Czy nie można tego uniknąć?

— Przyjeliśmy taką zasadę, że inwestor nie przyjmuje bloku, jeśli jest on źle wykonany, jeśli ma wady. Ale nie wszystko można od razu spotrządzić, nie wszystkie wady od początku widać. Przemarzanie szczytów ujawnia się zimą. Często nie zły materiał jest tego powodem, ale zła robota. Zależy to więc od ludzi.

Krytyka takiego sposobu przyjmowania bloku, kiedy nie jest on jeszcze dobrze wykonany jest słuszną. Ale nie jest to krytyka tylko tych, którzy odbierają bloki, ale systemu działania. Jeśli na przykład nie przyjmie się nie wykonanych bloków przed upływem określonego terminu, w którym zamykamy wykonanie zadań budownictwa mieszkaniowego, to w planie następnego roku zmniejsza się program i nakłady o wielkości, których nie potrafiliśmy wykorzystać, a to oznacza, że będzie mniej mieszkań. Często opóźnienia w budownictwie mieszkaniowym wynikają nie tylko z winy budowlanych, ale z opóźnień w dostawach materiałów, warunków atmosferycznych itd. Trzeba zatem zmienić sposób rozliczania wykonania planu w budownictwie i do tego dążymy.

— Moje kolejne pytanie wiąże się nie tyle z przygotowaniem miasta do zimy, co w ogóle z przyszłością miasta. Trochę nas niepokoi fakt, że oddłża się budowa drugiej nitki wodociągu Sulejów—Łódź, budowa Grupowej Oczyszczalni Ścieków. To może zahamować rozwój miasta.

— Nie ma takich decyzji. Na spotkaniu na Bałutach w czasie kampanii przedwyborczej do Sejmu PRL mówiłem, że czekają nas trzy wielkie inwestycje, mające kolosalne znaczenie dla rozwoju miasta. Właśnie budowa drugiej nitki wodociągu Sulejów—Łódź, EC-V i Grupowej Oczyszczalni Ścieków. Prace nad projektem drugiej nitki wodociągu Sulejów—Łódź są w toku i przewidujemy, że budowa jej ruszy w 1983 roku. Jeśli w mieście odczuwa się brak wody, to nie ze względu na jej niedostatek w ogóle, ale ze względu na niedostateczną sieć rozpraszającą. Będziemy tę sieć budować. Zarówno na północy miasta, jak i na Chojnach, gdzie robi się to w momencie budowy tam nowych bloków.

Na sprawy Łodzi nie można patrzeć w sposób partykularny. Żyjemy w jednym kraju i kraj ten ma różne potrzeby. Ogromne kłopoty z wodą przeżywa Poznań i tam najpierw potrzebna jest pomoc.

— A pozostałe zamierzenia?

— Nie mamy w tej chwili deficytu ciepła. Projektujemy budowę EC-V. Będziemy nadal rozbudowywać EC-IV. Prace nad projektem EC-V są w toku. Natomiast jeśli chodzi o Grupową Oczyszczalnię Ścieków sporo już zrobiono. Doprowadzono kolektory, oczyszczanie odbywa się na kratownicach. Potrzebna jest oczyszczalnia biologiczna. Czy starczy środków na przeprowadzenie prac w najbliższym czasie, tego dokładnie nie wiem. Ale budować musimy.

Grupowa Oczyszczalnia Ścieków, gdyby popatrzyć na to w sposób partykularny, to ścieki łódzkie nie trują samej Łodzi, trują inne województwa. Ścieki te docierają już do Poznania. I dlatego, że nasze ścieki zatrzymują kawałek Polski, niszczą tereny rolnicze, trzeba się z nimi jak najszybciej uporać. To znaczy, że trzeba je zneutralizować, a to może zrobić właśnie Grupowa Oczyszczalnia Ścieków. W tej sprawie porozumiewałem się z wojewodami zainteresowanych województw. Mamy przychylną pełnomocnika rządu ds. zagospodarowania Wisły i będziemy wspólnie troszczyli się o załatwienie tej sprawy.

— Gdybym na koniec zapytała, co się panu marzy jako prezydentowi miasta, jak by pan chciał pracować, to co bym usłyszała w odpowiedzi?

— Usłyszałaby pani, że marzy mi się, abym nie musiał robić tego, co do mnie nie należy. Żebym na przykład nie musiał patrzeć, co idzie do sklepów w Łodzi, tylko żeby zajmowali się tym ci, do których obowiązki to należy. Ale sytuacja z zaopatrzeniem miasta jest niebywale trudna i to jest sprawa dla miasta i jego mieszkańców najważniejsza. I w tej chwili muszę się tym zajmować. Ale, tak jak wszyscy, sądzę, że rozwiążemy tę sprawę, że stworzymy takie warunki w kraju dla rolnictwa, że w przyszłości nie będą się musieli tym zajmować.

— Trzeba powiedzieć, że dwuletni okres pana prezydentury nie przypadł na najłatwiejsze czasy.

— Człowiek nie wybiera sobie czasu, w którym przychodzi mu działać. I na to nie ma rady.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

(4) MIASTO PRZED ZIMĄ

Rozmowa z prezydentem miasta Łodzi — JÓZEFEM NIEWIADOMSKIM

budowania bazy Zakładu Sieci Ciepłej. Bo, co by to znaczyło? Znaczyłoby to, że przestajemy remontować domy w Łodzi. A kto się na to może zgodzić? Takiego kroku nie wolno nikomu zrobić, bo ludzie by słusznie przeciw takiej decyzji protestowali. Zresztą my na te remonty mamy znacznie mniej niż nam potrzeba.

Bazę dla Zakładu Sieci Ciepłej musi budować normalne przedsiębiorstwo budownictwa przemysłowego, a nie ogólnego. W Łodzi są trzy takie przedsiębiorstwa: „jedynka przemysłowa”, „chemobudowa” i „dwójka przemysłowa”. Przedsiębiorstwa te należą do resortu budownictwa. Rozmawiałem z ministrem budownictwa w tej sprawie. Ale chciałbym tu przypomnieć, że obaj ministrowie — minister energetyki i minister budownictwa — spotykają się na posiedzeniach Rady Ministrów i im jest łatwiej dojść do porozumienia. My tu na miejscu interesujemy się inwestycjami centralnymi, ich realizacją, bo to jest nasz obowiązek, bo to jest potrzebne dla miasta. Ale też wiemy, że bardziej słucha się tego, kto ustawia plany, kto płaci premie, kto decyduje o wysokości zarobków. A to wszystko należy do resortu budownictwa. I myślę, że dyrektor Walczak dobrze o tym wie.

— W dyskusji mówiliśmy również o stanie sieci ciepłej. Wiadomo, że jest to sieć ciepła na wielu odcinkach skorodowana wymagająca wymiany. Stąd liczne awarie. Obecnie tempo wymiany sieci w planobecnym jest niedostateczne. Co tu może pomóc i zmienić miasto?

— Jeśli chodzi o ciepło dla miasta, to zajmuje się jego dostarczaniem nie tylko resort energetyki, ale także gospodarka komunalna i spółdzielczość. Tu są istniejące i działające jeszcze lokalne kotłownie. Celem naszego działania jest uproszczenie organizacyjne całej tej maszyny, być może podporządkowanie jej jednemu przedsiębiorstwu. To by też znacznie uprościło wszelkie działania w wypadku awarii. Ludzi — w samej rzeczy — nie obchodzi, kto im awarię usuwa, ale, aby robił to dobrze i szybko.

Natomiast jeśli chodzi o wymianę, remonty i rozbudowę sieci ciepłej, to przeprowadziliśmy rozmowy z ministerstwem przemysłu lekkiego, które to ministerstwo posiada przedsiębiorstwa budowlano-remontowe, i ustaliliśmy, że rocznie, przedsiębiorstwa te wykonają w Łodzi roboty wartości 10 milionów złotych przy renowacji czy rozbudowie sieci ciepłej.

Proszę wziąć pod uwagę, że przedsiębiorstwa przemysłu lekkiego też korzystają z miejskiej sieci ciepłej, też korzystają z ciepła, jakie siecią tą wysyła im elektrociepłownia. Już choćby z tego powodu powinny uczestniczyć w ich remontach czy rozbudowie. Tym bardziej że wszyscy starają się pomóc energetyce w wyjściu z kryzysu. Przemysł lekki też będzie miał w tym swój udział.

dział Zatrudnienia da mu tych ludzi. Wydział Zatrudnienia też proponuje poszukującym pracę w działach priorytetowych, ale ludzie mają prawo wyboru. Jeśli więc ZSC nie ma pełnego zatrudnienia, to nie z winy Wydziału Zatrudnienia, ale dlatego, że albo tych ludzi po prostu nie ma, albo nie chcą tam iść do pracy.

Dyrektor Zespołu Elektrociepłowni im. W. Lenina — Zdzisław Szydło mówił w czasie naszej dyskusji, że bardzo dużo ciepła marnuje przemysł. Nie pisaliśmy o wszystkim, o czym mówiono w tej dyskusji, po prostu z braku miejsca. Ale teraz jest okazja, żeby o tym wspomnieć. Chodzi o taką sprawę: jeśli w szczytowym okresie zapotrzebowania na ciepło z EC II wynosi 500 ton pary na godzinę, to już w połowie października przemysł brał 400 ton pary na godzinę. Dyrektor Szydło twierdzi, że przemysłowi tyle pary jest niepotrzebne, że jest to marnotrawstwo. Jego zdaniem, tak jak w mieszkaniach ilość dostarczanego ciepła powinna być regulowana w zależności od temperatury na zewnątrz, tak też powinno się dostarczać parę dla fabryk. Połowa dostarczanego ciepła idzie bowiem na potrzeby technologiczne, a połowa — na ogrzanie fabryk i wentylację. Zdaniem dyrektora Szydła jest to struktura wadliwa. Jak można temu przeciwdziałać, bo przeciwdziałać trzeba?

— To święta prawda. W przemyśle marnuje się ciepło i marnuje się parę technologiczną. Co można zrobić? Należałoby instalować automatyczne czujniki, które ograniczałyby dopływ ciepła, gdy tylko temperatura na dworze szłaby w górę. I odwrotnie. Są próby instalowania takich czujników, ale jest ich jeszcze mało. I dopóki nie będzie automatycznych regulatorów, musimy to robić człowiekiem. Ludzie muszą zrozumieć, że jeśli często słusznie narzekają na zimno w mieszkaniu, to właśnie dlatego, że w fabrykach marnuje się ciepło. I często są to ci sami ludzie, którym jest w fabryce za gorąco, a w domu za zimno.

Stosujemy oczywiście kontrole. Ale mamy świadomość tego, że jest to działanie mało skuteczne. Bo jak kontrolerzy wchodzi do fabryki, to portier dzwoni, ostrzega, wszystko jest wtedy w porządku, zgodnie z przepisami. Jak tylko kontrolerzy wyjdą, wszystko jest tak jak było i jak być nie powinno.

Dwukrotnie już spotykałem się z dyrektorami przedsiębiorstw, które korzystają z ciepła dostarczanego naszą siecią i zwracalem im uwagę na marnotrawstwo pary technologicznej i ciepła.

Ciepło jest najważniejszą sprawą w zimie. Ale nie tylko, bo ważna jest również komunikacja, oczyszczanie ulic i tak dalej. Dwa lata temu mieliśmy zime, którą nazwano „zimą stulecia”, choć była to normalna zima, tyle tylko, że nadeszła niespodziewanie i wszystkich zaskoczyła. Sądzę jednak, że wyciągnięto wnioski z tamtej niemal żywiołowej klęski?

Tak. Wyciągnęliśmy wnioski i musimy powiedzieć, że jeśli chodzi o przygotowanie organizacyjne, to jesteśmy bardzo dobrze przygotowani. Pomiędzy tamtych doświadczeń dokonaliśmy dokładnego podziału kompetencji i odpowiedzialności, po prostu,

ZAWÓD: DZIENNIKARZ

Dalszy ciąg ze str. 1

Istotne chropowatości, bo w całej swej istocie jest to już statut obojętny, jako że został przyjęty przez zjazd i otrzymał zapewnienie wpisania do rejestru stowarzyszeń przez specjalistów będących w kularach zjazdu. A teraz cytuję: „Stowarzyszenie pod nazwą „Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich” jest organizacją twórczo-zawodową zrzeszającą dziennikarzy etatowych oraz nie zatrudnionych etatowo w redakcjach, a mających dorobek twórczy. Charakter Stowarzyszenia określany jest przez rangę społeczno-polityczną zawodu dziennikarskiego w Polsce Ludowej oraz przez poczucie odpowiedzialności dziennikarzy pełniących swe zawodowe funkcje w interesie narodu i państwa socjalistycznego.”

Jest to § 1 Statutu i właściwie wyjaśnia on, jak dziennikarze wyobrażają sobie swoją rolę społeczną i polityczną, jak pojmują swoje zawodowe funkcje, komu pragną służyć swoją pracą. Jest to bowiem zawód, który nie jest ani społecznie, ani politycznie obojętny. I to zarówno tym, którzy go uprawiają, jak i tym, którym służą, a więc swoim odbiorcom. Tu powołam się jeszcze na artykuł Michała Szulciewskiego, który ukazał się w „Życiu Warszawy” 22 października 1980 roku:

„Znaczenie dziennikarstwa w życiu kraju wynika z tego, że informacja dziennikarska stanowi współcześnie podstawowy element komunikacji społecznej, a celem jej jest zaspokajanie potrzeb (podkreślenie autora — L.W.) społecznych, uznawanych za życiowo ważne. Prawo do informacji jest istotnym uprawnieniem człowieka i zbiorowości ludzkiej, sposób realizacji tego prawa jest kwestią ważną dla organizacji życia zbiorowego oraz społecznego samopoczucia jednostki, nie powinien więc być uzależniany od krótkowzrostnych, arbitralnych rozstrzygnięć. W każdym czasie i miejscu, w zależności od charakteru danej zbiorowości, społeczna potrzeba informacji bywa dookreślana przez aktualne oczekiwania, zainteresowania i dążenia adresatów.”

Rzecz po prostu w tym, aby każdy robił swoje. Ileż bowiem razy każdemu z nas zdarzało się słyszeć, że „coś nie jest do pisania”, że „o tym to nie piszcie”, że „to mogę powiedzieć tylko prywatnie”, a także, że „o tym nie wolno pisać”. Nie przypadkowe więc są żądania, żeby artykule i informacje pisali dziennikarze, żeby oni robili audycje w radiu i telewizji i to według własnych poglądów, wiedzy i umiejętności, ponosząc za to, co robią i jak robią, pełną odpowiedzialność. Nie przypadkowe są też żądania, żeby politycy, działacze życia gospodarczego i społecznego robili swoje, bo znają się na tym lepiej i nie usiłowali zastępować dziennikarzy w wykonywaniu ich zawodu. A tak niestety bywało. Chodzi więc o to, aby stosunek między prasą a politykami oparty był na zasadach partnerstwa, wzajemnego poszanowania, kompetencji wiedzy i doświadczeń. Chodzi również o to, żeby dziennikarze mogli przekazywać swoim odbiorcom myśli własne, własne poglądy, a nie relacjonowali tylko to, co im inni powiedzą. Wiąże się to między innymi z pełnym dostępem do informacji.

Zrozumieliśmy już chyba, chociaż może jeszcze nie wszyscy, że pogląd o jedności ideowo-moralnej naszego społeczeństwa jest nieprawdą. Naród nasz stoi na pozycji socjalizmu, rozumiejąc, że jest to jedynie możliwa droga rozwoju, która naszemu narodowi daje pełną możliwość spełnienia jego aspiracji i dążeń. Ale to jest jedna sprawa. Drugą sprawą jest zróżnicowanie poglądów wśród społeczeństwa, i nie tylko poglądów, ale postaw moralnych. Przecież nawet w partii gdzie obowiązuje jedność ideologiczna, jedność celów i dążeń, różne są poglądy na temat ich osiągnięcia. Jeśli więc różnica poglądów jest faktem, to musi to też znajdować odbicie w gazetach, tygodnikach, w radiu i telewizji. Musi istnieć dyskusja, musi istnieć swoboda krytyki, każdy musi mieć prawo do publicznej obrony swego stanowiska, jeśli je głosi publicznie, lub publicznie je skrytykować. Musi wrzeszcze swoje prawa i naturalny charakter odzyskać polemika. W gruncie rzeczy wszyscy, a przynajmniej zdecydowana większość z nas, chce tego samego, ale mamy różne poglądy co do

sposobów osiągnięcia naszych narodowych celów. A te cele można osiągnąć tylko i wyłącznie na drodze socjalistycznej i to zdecydowana większość ludzi rozumie.

Najwięcej sprzeciwu budzi manipulowanie — teraz to takie modne słowo — informacją, komentarzem, prasą, radiem, telewizją, dziennikarstwem. Szuka się więc teraz sposobów, aby takiemu manipulowaniu zapobiegać, aby nie mogło się ono powtórzyć. Większość delegatów na nadzwyczajny zjazd SDP jest członkami partii. Swoje krytyczne uwagi pod adresem funkcjonowania prasy, pod adresem dotychczasowego kierowania prasą, formułowali oni z partyjnych pozycji. Krytykę tę podejmowano w intencji, aby prasa lepiej funkcjonowała, aby znajdowała uznanie swoich czytelników i aby oni wierzyli w to, co ukazuje się na łamach tej prasy. Takie stanowisko zakłada jednocześnie zróżnicowanie prasy. Wszystkie gazety nie mogą być takie same, bo wtedy nie różniłby się od prasy partyjnej od bezpartyjnej, a samo formalne zróżnicowanie nie ma absolutnie żadnego sensu. Różnić muszą stanowiska, poglądy, ideowe płaszczyzny. Co innego bowiem pismo partyjne, przemawiające w imieniu partii, a co innego pismo stojące na płaszczyźnie Frontu Jedności Narodu. Stąd postulaty wyłączenia niektórych gazet i czasopism z kombinatów wydawniczo-kolportażowych RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Stąd też postulaty sugerujące o przełamanie monopolu informacyjnego Polskiej Agencji Prasowej, jako jedynej agencji oraz powołanie innych.

Postulowano również, aby rzecznik prasowy rządu sam składał oświadczenia rządowe w istotnych sprawach, aby nie czyniła tego — wyręczając rzecznika — Polska Agencja Prasowa. Niech dziennikarze PAP — najczęściej występujący anonimowo — też mają możliwość prezentowania swoich poglądów i komentowania wydarzeń.

Ktoś zapytał słusznie, dlaczego tak wiele wydarzeń komentuje się wyłącznie za PAP, dlaczego zapomniano, że dobrym zwyczajem redakcji były własne komentarze i własni wyślanicy, prezentujący czytelnikom nie tylko przebieg wydarzeń, ale i własną ich ocenę. Już w Łodzi wielu kolegów pytało mnie, co się działo na zjeździe w Warszawie, bo z komentarzy PAP niewiele można się było zorientować.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że zmienić tego, co kształtowało się latami, nie można ani jednego dnia, ani

w ciągu kilku miesięcy. Jest to proces dłuższy, ale nie ma od niego odwrotu. Przekonanie to wynika z faktu, że nie ma i nie może być odwrotu od postanowień VI Plenum KC PZPR. Kto hamuje realizację przemian przez to plenum zapoczątkowanych, ten działa na rzecz zaostrzenia się konfliktów społecznych, a więc działa przeciw partii i przeciw narodowi. Innej interpretacji takich poczyną być nie może. Ale z drugiej strony i zbyt pociąg, nerwowość poczyną oraz brak czasu do namysłu, też nie przyczyniają się do stabilizacji nastrojów społeczeństwa. A do zrobienia jest bardzo dużo. W prasie, radiu i telewizji też.

W moim przekonaniu sprawny przepływ informacji blokuje nie tylko czyjaś zła wola, inne poglądy, obawa, aby ludzie się czegoś nie dowiedzieli, co dla takiej czy innej instytucji jest niepożądane i mogłoby być powodem społecznej krytyki, ale także stworzona struktura obiegu informacji w kraju. Jest to struktura centralistyczna. Polega ona na tym, że kraj został podzielony na rejonu informacji, że można o czym innym pisać i mówić w Rzeszowie, a o czym innym w Suwałkach czy Białymstoku i nawiązać jedni nie będą wiedzieli nic o tym, co piszą czy mówią drudzy. Bo dzienniki czy czasopisma wychodzące w jednym krańcu Polski, w ograniczonej tylko ilości docierają do drugiego krańca. Są to ilości, do polichenia których nie trzeba zdejmować butów, wystarczy tylko pałyce u rąk, a niekiedy nawet pismów ręcznych.

Powołanie do życia wielu pism wojewódzkich jeszcze bardziej zawęziło krąg informacji. Nie jestem przeciwny tego rodzaju pismom. Sam fakt pojawienia się coraz to nowych pism jest społecznie pożyteczny. Ale mam świadomość, że mogą się one rozwijać w określonych warunkach, kiedy nie będą miały charakteru „dworskich biuletynów”, kiedy nie będą się pojawiały w okresie ostrego deficytu papieru, kiedy ich zespoły nie będą się formowały w okresie niedostatku kadry dziennikarskiej, bo grozi to dostaniem się do tych zespołów ludzi przypadkowych. Kreśląc te uwagi kieruję się troską o rozwój prasy polskiej, jej poziom i troską o stan polskiego dziennikarstwa. Sądję, że w swym przyszłym działaniu SDP podejmie starania, aby pomóc tym pismom aby je umocnić.

Również ograniczenie zasięgu lokalnych rozgłośni Polskiego Radia, wyeliminowanie zespołów ośrodków telewizyjnych z anteny ogólnopolskiej, było w istocie swojej blokowaniem obiegu informacji. Słuszne są

więc postulaty dziennikarzy radia i telewizji o zmianę struktury emitowania programów. Tu przy okazji cenna uwaga, jaką podzielił się z delegatami nadzwyczajnego zjazdu jeden z dyskutantów. Zapytał on po prostu, dlaczego przy komentowaniu różnych wydarzeń w kraju nie korzysta się z pomocy dziennikarzy pracujących poza stolicą. Dlaczego na przykład wydarzenia w Gdańsku musi komentować dziennikarz z Warszawy? Czy on lepiej wie, co się dzieje w Gdańsku? Jest to niestety kolejna wada centralizmu. Zakłada on bowiem, że w Warszawie wszyscy są mądrzejsi, zdolniejsi, lepiej poinformowani, lepiej wiedzą, co i jak mówić czy pisać. A to nie jest prawda.

Jak pociążyć się proces przeobrażeń w prasie? Nie jestem wróżką. Sądję jednak, że trzeba dążyć do tego, aby poszczególne zespoły zdobywały sobie krajowe pozycje, aby się konsolidowały na płaszczyźnie jednolitych poglądów i jednolitych ideowo-politycznych, aby nie wszystko, co się pisze czy mówi, było takie samo, bo wtedy wiadomo, że dziennikarze nie przemawiają we własnym imieniu, tylko referują czyjeś słowa.

Jak to osiągnąć? Wydaje mi się, że sposób rozwiązania tego dylematu leży w ręku zespołów redakcyjnych. Jeśli zespół redakcyjny stać będzie na rozszerzenie kręgu swego oddziaływania, jeśli jego propozycja zainteresuje czytelników nie tylko w najbliższych województwach, ale i dalszych, nie stoi na przeszkodzie, aby taki dziennik, takie pismo, poszerzały swój krąg oddziaływania. W moim przekonaniu nie stoi na przeszkodzie aby gazeta z Krakowa czy Łodzi mogła być do kupienia w Poznaniu, Rzeszowie, Lublinie. Albo odwrotnie. Ale o tym powinny zdecydować same zespoły swojej pracy, troską o poziom gazety czy czasopisma, a nie wolno tego robić mechanicznie, bo to nie da żadnych rezultatów. Pomagać w spełnianiu takich zadań powinni wydawcy.

Myślę, że takie działania są w interesie nie tylko dziennikarzy, ale i społeczeństwa, ale i partii, która jeśli ma działać sprawnie, musi być zainteresowana w poszerzającym się dialogu ze społeczeństwem. I w tym, żeby ten dialog znów nie został przerwany, na czym nam wszystkim zależy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

Niejedną raz, ostatnio, w trakcie gorącego lata i niepewnej jesieni, miałem okazję pisać krytycznie (może to i wyraz prywatnego, osobistego niepokoju), o tzw. środkach masowego przekazu, które przez lata całe, zwolna, ale konsekwentnie przekształcały się w środki masowego przykazu, nie umiały (a nie umiały) same siebie odnaleźć w nowej sytuacji instrumentalnego ich traktowania przez władzę

JERZY KATARASIŃSKI

It'd., itp...

różnych szczebli i pionów, uporczywie wyławianie myśli teoretycznej i zastępowanie jej sloganami (po cóż narzędziom myśli), spowodowało stan, w którym środowisko dziennikarskie musi jednocześnie rozpoznawać rzeczywistość i — samo siebie. Ze szkoda, oczywiście, dla rzeczywistości.

Chciałoby się tu używać czasu przeszłego, ale cóż — jest to jeszcze jednak czas teraźniejszy. Odbył się co prawda Nadzwyczajny Zjazd SDP, który podjął wiele znaczących postanowień i uchwał (niektóre z nich postaramy się przedstawić, gdy dotrą do nas teksty z wnoszonymi do nich w gorących dyskusjach poprawkami), trudno jednak powiedzieć o nim że zamknął nieodwołalnie jakiś rozdział w powojennych dziejach dziennikarstwa. Raczej — otworzył nowy, nie zamykając jeszcze starego.

Główną zasługą zjazdu jest, przynajmniej dla mnie, dokonanie próby samoceny środowiska,

na razie jeszcze bardziej emocjonalnej, niż uporządkowanej, ujętej w ramy ściślejszej analizy, ale samoceny: niekiedy smutnej, gorzkiej, chwilami tragicznej, ustanawiającej jednak nadzieję. Ta nadzieja są usiłowania zmiany statusu dziennikarza (odnotowane w Statucie SDP uchwałach i wnioskach dostarczonych do rozpracowania różnym komisjom). Płszę tylko o nadziejach, bo nie mam złudzeń co do tego, że uchwały zjazdu, podejmowane nie bez oporów i sprzeciwów, z reguły większością głosów, a nie jednogłośnie (co w stosunku do niektórych odnotowuję jako element rzeczywistości nie tylko zjazdowej), będą także w życie wchodziły z oporami i sprzeciwami. Zbyt silnie został ugruntowany nie tylko w ośrodkach władzy, w społeczeństwie, a i w całym systemie środków masowego przekazu, kontrefekt dziennikarza jako technika, czy też rzemieślnika propagandy, aby łatwo, z dnia na dzień, przyjęty został jego status jako twórcy.

Przyjęty przez władzę — bo nie ma władzy, która lubi się z kimkolwiek dzielić swymi uprawnieniami.

Przyjęty przez środowisko jako całość — bo taki status nakłada większą odpowiedzialność, a nie każdy ma ochotę tę odpowiedzialność ponosić.

Przyjęty przez środowisko jako całość — bo taki status nakłada większą odpowiedzialność, a nie każdy ma ochotę tę odpowiedzialność ponosić.

Przyjęty przez środowisko jako całość — bo taki status nakłada większą odpowiedzialność, a nie każdy ma ochotę tę odpowiedzialność ponosić.

biłysta, jako technik; czy nie jest to strata społeczna, założona — czemu? — w samym systemie?

2.

O innym modelu dziennikarstwa, innym jego rozumieniu, mówił na zjeździe nowo wybrany prezes SDP, Stefan Bratkowski. Myśli on o środkach masowego przekazu jako o pionie władzy. Istotną rolę takiego pionu byłaby współpraca z innymi pionami władzy. Czym w takim ujęciu — rozwijając tę myśl — ma być dziennikarz? Technikiem, wykonującym z góry określone założenia, czy też raczej twórcą, politykiem...? Dalej Stefan Bratkowski, dziennikarze nie powinni się czuć pracownikami aparatu propagandy; propagandę mogą uprawiać instytucje, a nie środki masowego przekazu. Jak w takim modelu ma odnaleźć swoje zadania Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich? Ma to być organizacja zawodowców (a nie urzędników) dziennikarstwa, m.in. opiniująca politykę informacyjno-propagandową partii, rządu, opiniująca kandydatów na stanowiska kierownicze w prasie, radiu, telewizji. Zrozumiemy dobrze. To nie są żadne wytyczne prezesa. To tylko głos w dyskusji. Już jednak widzę, że sam fakt, iż o czymś takim w ogóle można mówić, wielu ludziom, także moim kolegom, podnosi włos na głowie.

3.

Zjazd SDP i rzeczywistość, a zwłaszcza rzeczywistość „wojewódzka”? Tutaj najbardziej jaskrawie uwidaczniają się błędy dotychczasowego modelu polityki informacyjno-propagandowej. Dysponenci środków masowego przekazu, którzy jeszcze kilka miesięcy temu doskonale wiedzieli co i jak należy napisać (tak, że wcale nie musieli czytać gazet, bo z góry wiedzieli co może być i co jest w nich napisane), precyzyjnie określający kto, w jakiej kolejności ma być wymieniony w sprawozdaniu, w nowej sytuacji są bezradni. Tu, gdzie trzeba podejmować istotne decyzje, wolą się zdawać na nos dziennikarza (przynajmniej od pewnego, a niedługiego czasu), lub na decyzje centralne.

Pytanie więc: czy tego, co robią dziennikarze — fachowcy, nie należałoby pozostawić jednak dziennikarzom (tak, przy zwiększeniu ich odpowiedzialności, tak, coraz lepszym dziennikarzom)? Czy w interesie władzy nie leży to, aby w środkach masowego przekazu miała partnera, a nie sługę? Za sługę trzeba myśleć, partner może wnieść swoje myśli, wzbogacić wiedzę o nie...

4.

Tymczasem jednak jest jak jest. Niejasność statusu środków masowego przekazu powoduje, że narzędzie staje się ręką, to znów — że ktoś je graczkowo chwytą, po czym znowu puszcza. A więc nerwowość, arytmia, opóźnienia w reakcji na wydarzenia, kolejne niedoinformowania, błędy w decyzjach. Jakie stanowisko wyraża gazeta: swoje, czy władz? Też niejasność. I w sytuacji, kiedy tyle już czasu upłynęło od kulminacyjnych momentów wydarzeń naszego gorącego lata, społeczeństwo ciągle czuje się niedoinformowane. Jakże skutki! Same szkody. Podczas gdy dawno już powinniśmy przyjąć pewne fakty do wiadomości, przebieg do konstruktywnej dyskusji nad sposobami wypracowania kraju z kryzysu, ciągle jeszcze tkwimy w sierpniu. A tu już listopad! Nie dziwnego że na tym tle, w sytuacji pełnej niejasności, domysłów i plotek, przy braku programu (a czy nie mógłby on już zaistnieć, choćby w zarysach, gdybyśmy dysponowali lepszą i głębszą wiedzą o rzeczywistym układzie sił politycznych w kraju i o realiach gospodarczych?), ujawniają się i wywołują, postawy ekstremalne anarchoistyczne i oportunistyczne. To z kolei powoduje kolejne napięcia i tak da capo al fine...

Rykoszetem, jak zwykle, odbija się to na prasie i w ogóle na środkach masowego przekazu, które ciągle nie mogą zdobyć pełnej wiarygodności, co z kolei... It'd., itp.

Czy świadomość tego stanu rzeczy powszechna jest we wszystkich lokalnych środowiskach dziennikarskich? Śmiem wątpić. I my, dziennikarze, ciągle jeszcze jesteśmy niedoinformowani. Także o sobie...

Na czym kończę, z nikim, poza sobą, tekst i nie uzgodniwszy.

Dalszy ciąg ze str. 1

Zgłosiłem się do naczelnika lokomotywowni mgr inż. Stanisława Gnackowskiego.

— Na dobrą sprawę nie wolno mi pana przyjąć — mówi.

— Nie rozumiem.

— Każdy dziennikarz musi najpierw zgłosić się do naszego Komitetu Zakładowego PZPR.

— Zostałem zaproszony przez kolejarzy, dlatego przychodzę, przedstawić się ich zwierzchnikowi.

— Mówię panu, że u nas tak się praktykuje. Zresztą może mieć pan z tego tytułu przykrość.

— Chwilęczkę wyjaśnijmy wszystko od początku. Kto jest naczelnikiem lokomotywowni?

— Ja.

— Dlaczego więc nie mogę przyjść od razu do pana?

— Nasz KZ tego nie lubi.

— Aż tak?

— Będzie miał pan okazję się przekonać.

Do rozpoczęcia narady pozostało sporo czasu. Przed salą kina „Kolejarz” już zbierają się grupki mężczyzn, palą papierosy, gestykują.

Wracam do naczelnika. Właśnie odbiera telefon.

— Dzwonił drugi sekretarz naszego KZ, tow. Włodzimierz Pietrasik i polecił mi, abym zabronił nagrywać przebieg narady. I co ja teraz zrobię? Jeśli o tym powiem tym z „Solidarności”, to oni natychmiast będą u niego interweniować. Wtedy odżegna się od wszystkiego i powie, że to mój wymysł.

Do pokoju naczelnika wchodzi wysoki, postawny wąż. To Zbigniew Wrochna, maszynista, pełniący obecnie funkcję przewodniczącego NSZZ „Solidarność” w lokomotywowni.

— Pietrasik chce byśmy nie nagrywali — mówi.

— Właśnie do mnie dzwonił z tym samym.

— To zbyt ważne zebranie by zdać się na protokołanki. Będziemy nagrywać.

Lokomotywownia stanowi największą jednostkę organizacyjną na Olechowie. Zatrudnia 1.130 osób, z których połowa znajduje się na trasach. W warsztatach naprawia się uszkodzony tabor — lokomotywy elektryczne i spalinowe oraz zespoły elektryczne. Sama lokomotywownia została zbudowana w czasie ostatniej wojny. W 1970 r. rozpoczęto jej modernizację, która trwa do dziś, co wcale nie usprawnia pracy. Modernizacja została zaplanowana „na dziś”, ale w ciągu ostatnich 10 lat ilość taboru zdążyła przekroczyć wszelkie możliwe plany i prawda jest taka, że jeszcze nie ukończono zaplanowanej przed dziesięć laty rozbudowy. A już jest potrzeba opracowania dalszych jej planów. Lokomotywownia stanowi najbardziej prężną jednostkę organizacyjną, choć są tu: stacja, budynek drogowy, odcinek energetyczny, odcinek łączności radiowej, rejon budynków, magazyny służby zapasowej, odcinek łączności telefonicznej, odcinek zabezpieczenia ruchu, a także jednostki organizacyjne Przedsiębiorstwa Budownictwa Kolejowego. Wszystkie te jednostki — choć pod względem ilości zatrudnionych osób różnią się bardzo — są sobie równe organizacyjnie. Każda posiada swojego naczelnika. Ponieważ jednak lokomotywownia jest najliczniejsza (na Olechowie jest zatrudnionych ok. 3 tys. osób, z czego 1/3 przypada na lokomotywownię), większość inicjatyw właśnie pochodzi stąd. Ale i praca tu jest niełatwa: każdy maszynista w ruchu towarowym pracuje średnio 260—270 godzin miesięcznie (często kończy pracę o północy i zanim dojedzie do domu — mieszka w łowiczku, Zduńskiej Woli, Brzeźnach itp. — jest już ranek. Przerwa dla maszynisty trwa zaledwie 18 godzin, w czasie których musi dotrzeć do domu, wyspać się, odpocząć, zająć się domem, a także dojechać ponownie do pracy w lokomotywowni). I tak przez całe lata, niektórzy od zakończenia wojny. Słuchając wypowiedzi kolejarzy, na sali, a potem rozmawiając z nimi w czasie kolejnych przerw „na papierosa”, odniosłem wrażenie, że maszyniści w kolejniactwie stanowią specjalną, wyselekcjonowaną grupę o najwyższych umiejętnościach. Kiedy powiedziałem, że są „arystokracją” na PKP, dyr. DRKP Tadeusz Sieradzki, tylko się uśmiechnął. „To prawda — powiedział. — Oni muszą umieć nawigować, gdyż na nich spoczywa odpowiedzialność za przewożenie ludzi i taboru”.

Punktualnie o 15 rozpoczyna się narada. Ktoś stojący w przejściu, powiedział, że nadeszła wreszcie dla nich „godzina szczerości”. Po 35 latach, i, że czekał na tę chwilę całe życie.

Sala kina „Kolejarz” wyglądem przypomina zle zbudowaną stodołę: nieprzytulna, sprawiająca wrażenie prowizorki wzniesionej w pośpiechu. Dziś, chyba po raz pierwszy, jest wypełniona do ostatniego miejsca. Ci, dla których zabrakło krzesełek, stają w przejściu, tarasują drzwi (nie pozwolono drzwi zamykać, by ci, co są na zewnątrz mogli także słyszeć) niektórzy tłoczą się pod ścianami. Nie wiem ilu przyszło: 300, 350 osób, niektórzy wzrost z warsztatu, inni powrócili z tras i zamiast jechać do domów siedzą teraz w płaszcach i

wisko kierownika, czy awansować do grupy 7.

W chwilę później, kiedy temperatura na sali osiąga szczyt, naczelnik lokomotywowni, uzupełnia swoją wypowiedź:

— Prawda jest taka: odznaczenia państwowe przeznaczono dla lokomotywowni w stosunku 1:500 osób. I prawda jest taka, że my opiniujemy wnioski i przesyłamy je do KZ do uzupełnienia. Ale mnie potem nikt na egzekutywę nie zapraszał, abym mógł w razie czego swój wniosek podtrzymać. Jeśli zgłaszani przeze mnie ludzie byli niewygodni sekretarzom, to musiałem dawać podwójne ilości kandydatów, albo wystawiać inne. Natomiast kto był zadowolony, kto był uzgadniany, kto otrzymywał — o tym też nie wie-

tylko dlatego, że ojciec — sekretarz oficjalnie powiedział, że syn jeździ i będzie jeździć i nikt tego nie zmieni? Inna sprawa: dlaczego w Komitecie Zakładowym fabrykuje się insynuacje przeciwko sekretarzowi POP Kaczowskiemu, przeciwko naczelnikowi Gnackowskiemu, jakoby ci dwaj podejmują niewłaściwe decyzje? Czy to nie jest przypadkiem celowe urabianie opinii, gdyż załoga darzy obu tych ludzi wielkim zaufaniem? Co zrobił sekretarz Mroziński z informacją, że około trzech ton oleju napędowego zostało wypuszczone do kanalizacji? Dlaczego od lat kilku ludzi w naszej lokomotywowni pracuje niezgodnie z anżamem?

Pytania padają od stołu prezydialnego i z sali. Ludzie czekają na słowa szczerości.

— Dlaczego dopiero teraz atakujecie sekretarzy KZ? Nie można było tego zrobić na zebraniach POP lub zebraniu sprawozdawczo-wyborczym?

— Towarzyszu redaktorze, co wy wiecie o naszych zebraniach partyjnych...

— Nie, ale wydaje mi się...

— Tu każdy oddech był kontrolowany, nie tylko słowa. Mroziński i Pietrasik mają poparcie, może nawet w KZ, kto ich wie. To są najsilniejsi ludzie w całej naszej DRKP.

Miałem okazję już wcześniej spotkać się z tymi „najsilniejszymi” ludźmi, kiedy po artykułach w „Odgłosach” dotyczących Olechowa, zjawili się w redakcji by mnie „rozliczyć”. Nie udało się. Teraz obserwuję ich reakcje na stawiane publiczne zarzuty. Miotają się, krzyczą, ale nie przedstawiają argumentów, które mogłyby podważyć lub obalić oskarżające ich słowa. A zarzuty są coraz mocniejsze, coraz bardziej goźdzą nie tylko w morale obu sekretarzy KZ ale coraz bardziej przechylają się w stronę odpowiedzialności ponoszonej przez nich w czasie pełnienia funkcji partyjnych. Niektórzy z dyskutantów nie wytrzymują napięcia, załamują się, płaczą. Widok szlachetnego starszego człowieka, który mówi o swojej wieloletniej pracy na PKP, wzmagając jedynie — i tak już rozpalona do białości — temperaturę sali. Kolejny mówca, grupowy partyjny, z trudem wstrzymuje drganie ust.

— Wygląda teraz na to, że partię i ustrój socjalistyczny naród zdeptał. A to jest nieprawda. Socjalizm to coś cennego, co mógł nasz naród otrzymać po dziesięciokrotnym po sekach lat niewoli. Trzeba też cennosc strzec jak oka w głowie. Ale gdy partię reprezentują tacy, jak tu ludzie... Kiedy zadzwoniłem do tow. Mrozińskiego i powiedziałem, że jego synuś nie płaci składek partyjnych, to usłyszałem, że podrywam autorytet partii.

Inny mówca:

— Wydaje mi się, że nie chodzi o to, by szukać bolączek u każdego z nas, tylko trzeba znaleźć samą chorobę. I zrobić operację, która nam wszystkim pomogłaby się wyleczyć.

Na sali, wśród bezpartyjnych, członkowie PZPR noszący taką samą legitymację jak moja. Takie legitymacje noszą także obaj sekretarze KZ. Lecz w czasie tej burzliwej dyskusji, wzrastającej fali żalów i pretensji, zarzutów i sporów, moja sympatia była po stronie tych zmordowanych pracą, niewypsanych, zmęczonych robotników. Jakoś nie mogłem znaleźć żadnej wspólnej nici łączącej mnie z dwoma towarzyszami. Odniosłem wrażenie, że żaden z nich nie rozumiał w pełni tego, co stało się w ciągu ostatnich miesięcy w kraju, nie pojął, że słowo „partia” — to miliony jej członków, a nie tylko jej kadrowi funkcjonariusze. Nie tak dawno syn sekretarza Mrozińskiego — Andrzej, krzyczał, że „Co to za związek? Gdzie te związki? Przecież jak mój ojciec by chciał, to by dał polecenie, żeby ich wszystkich pozamykali!”.

Na zakończenie zebrania podjęto uchwałę. Siódmy jej punkt brzmi:

„Podjęliśmy z woli narodu dzieło naprawy naszego kraju. Trudna to sprawa. Nie może przebiegać powierzchownie. Sięgnąć musimy wszystkich miejsc, w których zaległy się szkodliwe zjawiska i wyrosły na kształt bulnych chwastów. Nie będzie miejsce tabu. Niech sprawiedliwość sięga wszędzie, by naród nie miał cienia wątpliwości w cele socjalistycznego budownictwa. W wyniku przeprowadzonej dyskusji oraz przedstawionych zarzutów, na wniosek Lokomotywowni Łódź-Olechów, Komitet Łódzki PZPR powinien zdjąć z funkcji I sekretarza KZ PZPR ob. Mrozińskiego Mariana oraz z funkcji II sekretarza ob. Pietrasika Włodzimierza i zarządzić przeprowadzenie nowych wyborów do KZ PZPR lub wyznaczyć do pełnienia tych funkcji innych odpowiedzialnych i rozumiejących zadania partii towarzyszy”.

Uchwała ta została przekazana Komitetowi Łódzkiemu PZPR. W zakończeniu swego listu Komisja Zakładowa Organizacji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w lokomotywowni Łódź-Olechów, pisze:

„W przypadku nie spełnienia naszych żądań zostanie powołany Komitet Strajkowy, który podejmie decyzję o formach protestu”.

Termin podjęcia decyzji kolejarzy z Olechowa wyznaczony do dnia 5 listopada 1980 r.

GODZINY SZCZEROŚCI

kurtkach roboczych, z torbami, zwanymi tu „akordeonami”.

Ci, na podwyższeniu, w zaimprovizowanym ad hoc prezydium, czują się trochę skrepowani, gdyż dotąd nie rozmawiali w taki sposób ze swoimi kolegami. Zaczynają zebranie w napięciu, bo nie mają doświadczenia w wygłaszaniu przemówień. Skupienie, obawa przed popełnieniem jakiegoś omyłki, a także poczucie odpowiedzialności — paraliżuje, powoduje załamywanie się głosu, potknięcia. Jednak sala nie zauważa tego, słucha.

Zbigniew Wrochna zaczyna odczytywać długą listę osób, które otrzymały w lokomotywowni nagrody. Wynika, że niektórzy brali 14 nagród, inni jedną lub wcale. Podobnie było z przyznawaniem odznaczeń resortowych i państwowych. Z reguły nazwiska się powtarzają. Wychodzi na to, że jest w lokomotywowni niewielka grupa ludzi, których obejmowały awanse, nagrody i odznaczenia. Ludzie ci byli popierani przez KZ, pozostawali w bliskich układach z sekretarzami Marianem Mrozińskim i Włodzimierzem Pietrasikiem. Nie zawsze byli to ludzie z wieloletnim stażem, z doświadczeniem, sumienni i zdyscyplinowani. Zdarzało się, że ktoś pracował w lokomotywowni zaledwie parę lat i już był odznaczany, inni nie otrzymywali nawet odznaki resortowej, mimo że prowadzą pociąg od lat trzydziestu. Na pytanie, na czym polegało opiniowanie wniosków do odznaczeń czy nagród, II sekretarz KZ Pietrasik odpowiedział, że „między innymi należało sprawdzić to, czy człowiek nie był karany”. Zresztą obaj sekretarze KZ nie potrafili z sensem wytłumaczyć, dlaczego sprawa nagród i odznaczeń w lokomotywowni przebiegała tak, jak to wynikało z przedstawionych statystyk. Nie wyjaśnili także, dlaczego kolejarze otrzymywali tak mało odznaczeń, ani gdzie się zapadła lista z tegorocznymi propozycjami. Indagowany II sekretarz KZ Pietrasik, chcąc ratować twarz, usiłuje zamiast odpowiedzi, pokazać zebranym formularz na odznaczenie resortowe, co wywołuje na sali śmiech. Ale nikt go nie słucha, bo ludzie chcą wiedzieć dlaczego jedni i ci sami otrzymują odznaczenia i nagrody, a nie jak wyglądają formularze.

— Twierdzenie, że jeden i ten sam człowiek otrzymuje dwa razy nagrodę za to samo — jest szantażem! — krzyczy I sekr. Mroziński do mikrofonu.

Wywołuje to protesty i krzyki, ludzie wstają z miejsc, wymachują pięściami. Temperatura na sali rośnie. Kolejarze chcą usłyszeć konkretne wyjaśnienie, bowiem z przebiegu dyskusji wynika, że decydujący głos w sprawie awansów, nagród i odznaczeń mieli właśnie dwaj zaproszeni tu sekretarze Mroziński i Pietrasik.

— A może spytamy naczelnika Gnackowskiego. Czy tak było, jak twierdzą sekretarze?

— Ja myślę że jeśli zebraliśmy się tu w ogóle, to powinniśmy mówić prawdę. Ja tego wcale nie ukrywam, że nie mogłem dać grupy 6 bez uzgadniania z tow. Mrozińskim i nie mogłem mianować kogoś na stano-

działem, bo odznaczenia były wręczane przez sekretarza.

W miarę upływu godzin, zaczyna zarysowywać się obraz stosunków panujących w lokomotywowni. Ma się wrażenie, że jedynymi, niepodzielnymi władzami byli tu Mroziński i Pietrasik, że do nich należały wszystkie decyzje, że pojęcie „partia” równało się z pojęciem „sekretarz KZ”. W czasie jednej z przerw, rozmawiałem z członkami tutejszego POP, którzy wręcz twierdzili, że wypowiadając jakieś zdanie, które różniło się od zdania Mrozińskiego czy Pietrasika, człowiek był oskarżany o krytykowanie partii.

Siedzę i obserwuję. Ludzie są rozgorączkowani, już nie dochodzą swoich osobistych spraw, ale domagają się wyjaśnień i prawdy. Czekają na zwyciężne słowa, na szczerość. Idąc tu, sądziłem, że będą rozmawiać ze sobą od serca. Ale dwaj sekretarze KZ nadal posługują się ogólnikami, nie nadają przekonywujących argumentów. Załoga lokomotywowni jednoznacznie w ich osobach upatrzyła przyczynę nieprawidłowości jakie zaistniały w życiu kolejarzkiej zbiorowości na Olechowie. Oliwy do ognia dołączył artykuł Z. Strzepka w „Głosie Robotniczym”, który odwołując się do Olechów, odniósł, jak to było w zwycięzcu, Komitet Zakładowy, natomiast nie uznał za potrzebne porozmawianie z robotnikami. I w odczuciu kolejarzy, wyszło tak, że na łamach partyjnej gazety zamieszczono reklame działalności aktywistów partyjnych, nie wspominając o innych. Szczególnie zabolowało ludzi stwierdzenie: „w naszym węźle Komitet Zakładowy spełnia to, co się nazywa przewodnią rolą partii na co dzień wśród całej załogi”. Otarł, uważają, że tak nie jest, że organizacja partyjna jest sobie, a reszta robotników sobie. Ludzie sprawujący kierownicze funkcje w KZ od dawna oderwali się od mas, zatrucili poczucie wspólnej z nimi więzi, stali się dygnitarzami. Jak więc w tej sytuacji mogą reprezentować załogę?

Kiedy sytuacja zaostrza się, kiedy brakuje argumentów, sekretarz Mroziński krzyczy:

— Wiem, że macie zatwierdzony statut i od soboty trzeba się zdecydować: albo jesteście jawnymi wrogami ustroju socjalistycznego, albo...

Wrzawa na sali. Sledzący w rzędach blisko podium wstają z miejsc.

— Kto tu jest wrogiem?

— Ja o Polskę Ludową walczyłem z okupantem!

— Jestem członkiem partii od ćwierć wieku i dziś oświadczam, że mnie z takimi towarzyszami jak Mroziński i Pietrasik nie po drodze...

— Ich droga i droga partii, to są dwie różne drogi!

Wrochna stara się uspokoić wzburzoną salę. Jest to mężczyzna koło trzydziestki, panujący nad własnym głosem, nie ulegający emocjom. Mówi spokojnie, dobitnie, rzeczowo. Zadał kolejne pytanie: dlaczego syn sekretarza Mrozińskiego jeździ od lat w ruchu pasażerskim, choć jest zaledwie młodszym maszynistą? Czy

Naczelnik Łojek: — To pytanie, odnośnie niewłaściwego zatrudnienia, nie do mnie, tylko do naczelnika Gnackowskiego.

GNACKOWSKI: — To pytanie nie do mnie, tylko do sekretarza Mrozińskiego.

WROCHNA: — Panowie, tu nie miejsce na odbijanie piłeczki.

GNACKOWSKI: — Polecenie otrzymałem od towarzysza Kanieckiego i od towarzysza Mrozińskiego, żeby tych ludzi oddelegować. A Mrozińskiego Andrzeja odsunął kierownik trakcji bez mojej zgody. To mogę powiedzieć publicznie. Na drugi dzień musiałem być u tow. Kanieckiego i tłumaczyć się, przepraszać Mrozińskiego za to, że go odsunąłem. A przecież to nie ja...

Pytania, pytania, pytania.

Na większość z nich nie ma odpowiedzi. Nie dowiedziiano się, np. dlaczego dużym kosztem wyremontowano salę kinową „Kolejarz” przeznaczoną do rozbioru, dlaczego z przeprychem urządzono gabinety w Komitecie Zakładowym, sale audiowizualną i szereg innych pomieszczeń towarzyszących, gdy na terenie Olechowa są budy, szopy, baraki, walące się wagony, w których pracują ludzie, gdzie biegają szczury, gdzie dachy są dziurawe lub nie ma ich wcale. A w pięknie wyposażonej sali audiowizualnej od czasu do czasu odbywają się zebrania, reszta roku stoi ona bezużytecznie. Inna sprawa: radiotelefon. Komitet Zakładowy każł go zainstalować u siebie w gabinetach, gdy tymczasem takich telefonów brakuje w lokomotywowni, nie ma go także pociąg ratunkowy. Po co taki telefon w KZ? A używanie samochodu służbowego, gdy trzeba udać się do budynku oddalonego o 300 m od Komitetu Zakładowego?

Następuje odczytanie listu nadesłanego z odcinka DG Łódź-Kaliska przez Derwiszkiego, a dotyczącego stosunku Mariana Mrozińskiego do współlokatorów w budynku gdzie mieszka. Otarł Mroziński bezprawnie zajął wspólną pralnię, a gdy wezwano go do oddania kluczy, odpisał m. in. co następuje: „Wieczne traktowanie sprawy jako otwartej oraz straszenie mnie kolegami jest wielkim nieaktami i brakiem znajomości przepisów ze strony DG Łódź-Kaliska, z uwagi na pewnione przeze mnie funkcje, jak: sekretarza KZ PZPR, Radnego m. Łodzi oraz członka prezydium WKKS”.

Wstaje Jarosław Nowicki:

— Może pan Pietrasik odpowie teraz przy wszystkich, co miały znaczenie słowa skierowane do mnie, kiedy byliśmy ze Zbyskiem Wrochną w KZ „że kręcą bat na swoją dupę”.

PIETRASIK: — Nie takiego nie miałem na myśli mówiąc to do kolegi Nowickiego.

Kolejna przerwa w obradach (ile ich już było?). Jest późna noc, leje deszcz, ale ci, którzy nie mogą się pomieścić na sali, nadal stoją przed budynkiem. Przerwa staje się przeniesieniem dyskusji poza barak, ludzie zbijają się w grupki. Podchodzą do jednej.

S. DZIECIŁSKA — Są to nowe, często zaskakujące sytuacje zarówno dla samych strajkujących jak i administracji zakładów i organizacji społecznych. Można powiedzieć, że debiut. Z drugiej strony robotników łódzkich nie trzeba uczyć jak mają strajkować.

G. MATUSZAK — Istnieje wiele zmistykowanych pojęć na temat strajków. Na przykład w „Marchlewskim” z trudem mogliśmy się dowiedzieć, dlaczego robotnicy uważają, że strajk zaczyna się dopiero po 48 godzinach, a przerwa trwająca 48 godzin nazywana jest postojem i nie przysługuje za nią wynagrodzenie. Nikt jednak nie wiedział dlaczego tak jest. Dopiero dwie nasze rozmówczynie przypomniały, że w taki sposób określono strajki w 1971 roku. Nikt jednak dalej nie wie na podstawie jakich podstaw formalnych. Nie było też jasne, dlaczego podczas strajku nie można wyjść z zakładu po jednej zmianie, tylko trzeba przesiedzieć dwie. Robotnicy mówili, że tak się strajkuje. Jedną z tkaczek wyjaśniła to postępowanie w sposób bardzo przekonujący. Po prostu jedna zmiana pilnuje drugiej, aby nie podjęła pracy. Jest to pewnego rodzaju wewnętrzna kontrola. Te mity o długości czasu trwania strajku nadal jednak funkcjonują. Nawet gdyby doszło do porozumienia z dyrekcją czy związkami na przykład po 5 godzinach, to część robotników mogłaby być przekonana, że należy strajkować dwie doby, bo inaczej strajk „nie będzie się liczył”.

STRAJK W OCZACH SOCJOLOGÓW

„ODGŁOSY” — Strajki rozpoczynały się w różnych terminach i w różnych zakładach. Jakże były główne różnice między nimi?

S. DZIECIŁSKA — Nie można w ogóle mówić o strajku jako takim, gdyż znacznie różnią się między sobą. Ustaliśmy pewną typologię strajków. Wczesne strajki np. w Zakładzie Igieł i Części do Maszyn Dzierżawskich „Famid”, „Sandrze”, „Teofilowie”, „Obronach Pokoju” określilibyśmy jako strajki protestacyjne, przeciwko obniżeniu poziomu życia, obniżeniu zarobków, trudnościom w zaopatrzeniu. Były to strajki spontaniczne, żywiołowe, zwykle krótko trwałe. Wśród żądań przeważały żądania płacowe i socjalne. Nie są one jeszcze dokładnie sprecyzowane. Np. w „Famidzie” zapisywano je na karteczkach wyrwanych z zeszytu. Później podpisała się pod nimi grupa osób i przekazano je dyrekcji.

Drugą falę strajków określilibyśmy jako solidarnościowe. W naszym przekonaniu taki charakter miał strajk w „Marchlewskim”. Trwał od 26 do 30 sierpnia, czyli skończył się zaraz po parafowaniu układu w Szczecinie. Do robotników łódzkich docierały wcześniej informacje z Wybrzeża, dochodziły ulotki w belach bawełny. Poza tym był to okres wakacyjny, ludzie sporo podróżowali, przewożili wiadomości, słuchali zagranicznych rozgłośni.

G. MATUSZAK — W zakładach powiedziano nam wprost, że po cichu to wiedzieliśmy dokładnie o wszystkim co się dzieje w kraju.

S. DZIECIŁSKA — Poza tym w „Marchlewskim” są chłubne tradycje. Pamiętano dokładnie strajk z 1971 r. kiedy to robotnicy wymusili cofnięcie podwyżki cen na mięso i artykuły mięsne. Zdawano sobie sprawę z tego, że „załatwienie” tej sprawy dla całej Polski. Stąd poczucie solidarności z robotnikami z Wybrzeża. Trzeci etap strajków miał wyznaczyć charakter opozycyjny, zorganizowany. Chodziło tu o wymuszenie spraw, które już zostały załatwione w myśl zasady, która wtedy funkcjonowała „Kto nie staje, nie dostaje”. Dokładną analizę tego typu strajku przeprowadza Jacek Indelak na łamach „Odgłosów” z 21 września. W tego typu strajkach wysuwano również żądania związane z organizacją nowych związków zawodowych.

„ODGŁOSY” — A kiedy pojawiają się żądania natury społecznej i politycznej?

S. DZIECIŁSKA — W strajkach solidarnościowych i opozycyjnych. Powstaje pytanie: czy strajki w Polsce można nazwać tak jak dotychczas ekonomicznymi lub politycznymi? Do pewnego stopnia tak. Jednakże w strajkach ekonomicznych przed wojną robotnicy domagali się albo podwyżki płac albo w przypadku bezrobotnych — prawa do pracy. Później domagano się skrócenia dnia i tygodnia pracy. W Łodzi w 1980 roku podczas strajków robotnicy wysuwali wyraźne żądania socjalne. Zatem same strajki proponujemy nazywać strajkami socjalnymi, do których dołączane są elementy polityczne. Zastanawiałam się nad tym, czy gdyby prawidłowo wcielano w życie programy humanizacji pracy byłoby podstawą do wysuwania żądań typu: socjalnego?

„ODGŁOSY” — Czy można państwa prosić o omówienie najczęściej wysuwanych żądań. Są one ogólnie znane, interesująca jednak będzie klasyfikacja postulatów.

S. DZIECIŁSKA — Wszystkie żądania podzieliłabym obecnie na 6 grup. Są to: żądania socjalne, zaopatrzeniowe, płacowe, dotyczące or-

ganizacji i warunków pracy, żądania polityczne i inne. Wymienimy dla przykładu najczęściej powtarzane żądania: dotyczą one poprawy zaopatrzenia rynku, wprowadzenia kartek na mięso, podwyższenia płacy robotniczej o 1500—2000 zł lub, tak jak na Wybrzeżu, dodatków za pracę na III i III zmianie, wypłacania należności w terminach, podniesienia dodatków rodzinnych, poprawy opieki lekarskiej, sprawiedliwego podziału wczasów, mieszkań, itp., ograniczenia liczby sprawozdań, zmniejszenia biurokracji, wymiany zużytych maszyn i narzędzi. Wśród żądań politycznych na pierwsze miejsce wysuwa się niepodleganie do odpowiedzialności strajkujących, dostarczenie informacji o wolnych związkach zawodowych, podanie do wiadomości tekstów żądań robotniczych, uznanie strajku jako prawomocnego przed upływem 48 godzin itp.

Analiza żądań wskazuje na to, że większość z nich nie powinna w ogóle powstać w zakładach w ustroju socjalistycznym, innymi słowy, nie powinno być takich sytuacji w której robotnicy zmuszeni są do wysuwania żądań zaspokajających potrzeby, które im się słusznie należą.

„ODGŁOSY” — Czy badania potwierdzają umiejętności uczestniczenia robotników w sytuacjach, w których dotychczas nie mieli okazji się znaleźć?

G. MATUSZAK — To zależy w jakim strajku. W strajkach solidarnościowych komitety organizacyjne wylaniły były spontanicznie na zasadzie — wybieramy Kowalską bo potrafi się dogadać z dyrekcją, bo potrafi nas bronić. W strajkach opozycyjnych komitety organizacyjne powstawały wcześniej. Byli wśród nich ludzie z różnym doświadczeniem społecznym i zawodowym, o różnym stażu pracy. Strajki protestacyjne były popierane przez większość załóg. Różnice postaw zaczynają się pojawiać w strajkach solidarnościowych, kiedy jedni chcieli strajkować, a inni nie. W stosunku do tych, którzy nie chcieli, pojawiła się pewna presja moralna, a nawet fizyczna. W strajku typu opozycyjnego ta presja była wywierana w sposób bardzo silny. Na przykład w Zakładach im. Kunickiego jedna trzecia załogi nie chciała strajkować. Zmuszono ją jednak do pozostania w zakładzie. Są to te elementy, które różnią wcześniejsze w czasie strajki od późniejszych.

S. DZIECIŁSKA — Powstaje tu nowy problem: co oznacza prawo do strajku? Oznacza, oczywiście, że każdy ma prawo przerwać pracę i w ten sposób wyrazić swój protest. Ale prawo do strajku nie daje prawa do odmowy udziału w strajku. Tymczasem zdarza się, że pracownicy nie strajkują ze zwykłych ludzkich powodów. Np. w Łodzi, w mieście pracujących kobiet zupełnie innego wymiaru nabiera strajk okupacyjny. Obecność w zakładzie przez 16 godzin nie jest dla kobiety taką łatwą. Co zrobić z dziećmi, które czekają w domu na matkę? A kiedy ojciec również strajkuje, kto odbierze dzieci ze żłobka, przedszkola? Jeszcze trudniej jest w takiej sytuacji samotnym matkom lub ojcom. W takich ludzkich sytuacjach człowiek po prostu nie może strajkować i powinien być zrozumiany.

G. MATUSZAK — Wydaje się, że na tym polega demokratyczne podejście do sprawy. Tymczasem w trzecim typie strajku zdarzały się próby przetrzymywania w zakładzie tych, którzy strajkować nie chcieli.

S. DZIECIŁSKA — Zawiodła więc kultura strajku. Dodajmy, że wszyscy strajkujący zazwyczaj, że strajkowanie wcale nie jest takie przyjemne. Trzeba wiedzieć, co to znaczy przebywać w fabryce przez 16 godzin, w beczynności, w atmosferze niepokoju o swoje rodziny, zwłaszcza w godzinach nocnych.

G. MATUSZAK — Dochodzi do tego niezwykłość sytuacji: cisza hal fabrycznych. Jest to sytuacja bardzo stresowa. Podczas strajków wiele kobiet płakało, niektóre przeżywały to bardzo emocjonalnie.

S. DZIECIŁSKA — Później przyzwyczajano się już do nowych warunków. Ludzie nie chodzili jednak po zakładzie, nie opuszczali własnych oddziałów, dbali o powierzzone im dobro. Jest to również bardzo ważny dowód zaakceptowania przez klasę robotniczą socjalistycznej własności środków produkcji. Mimo trudnych warunków, jakie panowały w całym mieście i braku komunikacji podczas strajku tramwajarzy, frekwencja w pracy była bardzo wysoka. Przychodzili do zakładów nawet ci, którzy mieli zwolnienia lekarskie, pilnowali swego interesu.

„ODGŁOSY” — A jaka jest socjologiczna ocena wyników badań?

S. DZIECIŁSKA — Opisujemy przez nas strajki trzeba po prostu włączyć do teorii sprzeczności charakterystycznej dla każdej formacji społeczno-ekonomicznej. Zgodnie z tym, co mówił Oskar Lange, o sprzecznościach wynikających ze stadiów rozwojowych ustroju socjalistycznego, wynika jedna z wewnętrznej dialektyki rozwoju istniejących instytucji, urządzeń i struktur społecznych. Wyrażenie dąży o sobie znać sprzeczności między rozwojem potencjału kadrowego i technicznego, a metodami kierowania, zarządzania, formami podziału. Powstałe przed laty instytucje, formy organizacyjne i urzędnicy nie odpowiadają nowym zadaniom i potrzebom nowego człowieka, nowej jakościowo a nie tylko ilościowo klasy robotniczej, inteligencji i chłopstwa. Nierealizowanie, a nawet łamanie podstawowej zasady socjalizmu (maksymalnego zaspokajania ulegających zmianom potrzeb materialnych i kulturalnych ludzi) musiało doprowadzić do takiego spiętrzenia trudności, że masy nie mogły już żyć po staremu, a władza — biurokratyzowana, skorpumpowana, łamiąca podstawowe zasady współżycia — nie umiała rządzić zgodnie z potrzebami. Wzrost sprzeczności wewnętrznych doprowadził do spontanicznego wyrażania niechęci. To, co opisujemy, jawi się jako wybuch niezadowolonych i poczucia odpowiedzialności klasy robotniczej.

Jeśli włączymy opisywane wydarzenia i strajki do teorii rewolucji, to wówczas należy uznać, iż dąży ona nie do zmiany ustroju, ale do obalenia przeszłości właśnie w realizacji ustroju socjalistycznego.

Przygotowała:
MAŁGORZATA GOLICKA

STARE, NOWE ZWIĄZKI

— Brakowało nam odwagi w dyskusji i działaniu, w walce o ochronę interesów i praw pracowniczych. Z tej racji jesteśmy winni i w pełni musimy przyjąć gorzkie robotnicze słowa krytyki — mówił Eugeniusz Matykiewicz mistrz z „Merynotetu” w Toruniu na IX Krajowym Zjeździe Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odrzańskim i Skarżanym, odbytym w dniach 22—23. X. br. w Łodzi.

— Odrzucamy jednak — stwierdził — krytykę ze strony tych działaczy politycznych i administracyjnych, którzy zarzucają branzażom związków zawodowych skostnienie, biurokratyzowanie instancji i oderwanie się od mas. Ruch zawodowy stanowił część określonej rzeczywistości społeczno-politycznej, był usytuowany w systemie, który właśnie wbrew ułudom oficjalnej propagandy skostniał i w którym w różny sposób coraz bardziej ograniczano funkcje związków w Polsce, choćby w przepisach wprowadzonego Kodeksu Pracy.

— Brakło nam odwagi do przeciwdziałania. Ale brakło jej nie tylko w związkach — brakło jej w KC partii, w Sejmie. Głosy krytyki były tępe i nie miały skutku. Podobnie postulat. Przypomnę, iż przed czterema laty, na poprzednim Zjeździe Włókiennarzy, wniosłem sprawę likwidacji trzeciej, nocnej zmiany, na której w naszym przemyśle pracuje tak dużo kobiet. Okazało się, że jest to temat tabu, prasie nie wolno było o nim pisać. Dopiero teraz przeczytałem w „Trybunie Ludu” wypowiedzi ministrów — Miłczarkowej i Jablońskiego. Stwierdzili, że problem jest niezwykle trudny, jego rozwiązanie musi potrwać 10 lat!

— Nie zadowolona nas taka odpowiedź. Gdyby nie bałagan i niegospodarność, moglibyśmy już odcisnąć od trzeciej zmiany bez obniżania produkcji przemysłu lekkiego. Proponuję więc by zjazd postawił sprawę twardego: resort zlikwiduje trzecią zmianę do końca 1983 r. W przeciwnym razie już dziś podejmijmy decyzję o strajku po tym terminie.

GORZKIE REFLEKSJE

Przytoczyłem szersze wyjątki z tego głosu, gdyż dobrze on oddaje charakter dyskusji i klimat włókienniczej debaty. Wypowiedziało się w niej aż

50 delegatów załóg ze wszystkich zakątek kraju. Dwa dni nie wystarczyły na obrady, również w nocy. A dawniej — mówili w kuluarach delegaci — kazano nam robić zjazdy jednodniowe, bo szkoda wydatków. Naprawdę chodziło o to by nie było czasu na dyskusję, na wylewanie naszych żalów i pretensji. Zresztą wypowiedzieliśmy się wcześniej u zgadniać, uzyskiwać akceptację.

Obecny Zjazd Włókiennarzy różnił się w sposób zasadniczy od wszystkich poprzednich, był wyjątkowy. Taka jest zresztą sytuacja w kraju i ruchu zawodowym. Delegaci mówili o niej z głęboką troską, z niepokojem o wspólne jutro. Dominował w dyskusji nurt rozliczania się z przeszłością, wskazywania przyczyn kryzysu społeczno-gospodarczego, szukania gwarancji na przyszłość. Obok potrzeby gruntownych przeobrażeń w działaniu partii, pełnej demokratyzacji w jej życiu wewnętrznym i formach oddziaływania na życie społeczne, głównym gwarantem harmonijnego rozwoju kraju w przyszłości — podkreślali delegaci — muszą być związki zawodowe, masowa organizacja wszystkich ludzi pracy.

W tym celu „stare”, branzażowe związki muszą przejść gruntowne przeobrażenia. Stać się organizacjami niezależnymi od administracji i instancji politycznych w reprezentowaniu problemów, z którymi borykają się wszyscy pracujący. Tak przekształcone będą mogły podjąć partnerską współpracę z nowymi związkami zarejestrowanymi w Polsce. W imię jednoci ruchu zawodowego, w imię dobra załóg robotniczych, jedynych i niepodzielnych gospodarzy socjalistycznych zakładów pracy.

KTO JEST Z KIM?

Dyskusję na zjeździe determinowała bez wątpienia obecność delegatów, którzy w międzyczasie zdeklarowali się do NSZZ „Solidarność”. W kuluarach wtajemniczeni twierdzili, że „na pewno” takich jest 90, a liczbę sympatyków trudno określić. Wiadomo, że na żądanie załóg przed zjazdem wybrano 30 delegatów nowych, bez wątpienia z nowych związków. W wielu zakładach przemysłu lekkiego w kraju „Solidarność” obejmuje większość załóg, choć są za-

kłady, w których nie zgłosiła jeszcze swojej obecności.

Związek Włókiennarzy zrzeszał 750 tys. członków, licząc w tym emerytów i rencistów. Do tej pory formalnie, na piśmie, niewielu odeszło. Jaka jednak będzie sytuacja po rejestracji NSZZ „Solidarność”? Nikt na to pytanie nie mógł odpowiedzieć na zjeździe. W czym imieniu radzili więc delegaci?

Jak stwierdziłem — także w imieniu NSZZ, choć występujący jego przedstawiciele tego nie podkreślali. W każdym bądź razie delegaci mówili o wszystkich najgłębszych troskach i postulatach załóg przemysłu lekkiego, a więc o problemach wspólnych dla obu związków. Uchwały zjazdu zmierzają do rozwiązania licznych postulatów robotniczych, w tym podstawowych jak wzrost płac, zaopatrzenie rynku, poziom życia rodziny, świadczenia społeczne, warunki pracy i warunki socjalne załóg.

A więc współpraca z nowymi związkami, partnerska lub na zasadzie zdrowej konkurencji. Czas wykluczyć wzajemną krytykę i podjadowe wojny. Tak kaže zdrowy rozsądek, racjonalne myślenie o partię o ocenę istniejącej rzeczywistości. Tak mówiła większość delegatów, choć nie wszyscy w głębi serca tak czuli i myśleli. Zarówno ze „starych” jak i „nowych” związków.

Zjazd został zbulwersowany, kiedy Helena Wojciechowska ze Szczecina zacytowała oświadczenie z tamtejszej gazety na temat ustaleń Komisji Mieszanej złożonej z przedstawicieli rządu i NSZZ o współdziałaniu związków zawodowych. Po wielu wystąpieniach delegatów zjazd uchwalił list protestacyjny i skierował go do przewodniczącego Rady Państwa oraz premiera. Czytamy w nim m. in.:

„Wytęczenie ustalone w Szczecinie w punkcie 4 stanowią: W jednostkach gospodarczych lub instytucjach, w których ponad 90 proc. załogi zgłosiło akces do NSZZ, rady zakładowe dotychczasowych związków zawodowych winny zaniechać działalności, a ich agendy winny przejmować komisje zakładowe. Do czasu uprawnienia się NSZZ — przejęcie winno być komisarycznie ustanowione przez MKR. Powyższe ustalenie wynika z konieczności zachowania jednoci polskiego ruchu związkowego. Jeżeli w NSZZ jest mniej niż 90 proc. załogi, obowiązują zasady współpracy Komisji Robotniczej i Rady Zakładowej.

Jednostronne podjęcie takiej decyzji jest niedopuszczalne i sprzeczne z obowiązującym prawem zagwarantowanym w art. 84 Konstytucji PRL... z postanowieniami Konwencji

Punktem odniesienia nie są tu żadne pozwolenia, lecz możliwości własnej kieszeni oraz dostęp do pozapieniężnych środków.

Takie oto myśli nasuwały nam się podczas pobytu w Ponikwie nad Pilicą. Zagłębiamy się w lesny teren, przeskakujemy przez dragi. Jakże się bowiem oprzeć widokowi podarząbka, choćby najbardziej prywatnego? Zagłębiamy przez siatki i sztachety w płotach, na wiejską modę stawiane, próbujemy — w towarzyskim uprzedzeniu inspektora do spraw budowlanych w gminie Poświętne Bogusława Pastuch —

TERESA LECHOWSKA WŁODZIMIERZ IBRON KRAJOBRAZ

uchylać drewniane i żelazne, prywatne drzwi do lasu. Zgadamy się co do tego, że siatka druciana jest może dobrym ubezpieczeniem własności, lecz w lesie — zawsze czymś nienaturalnym, szpetnym.

Przystajemy u furty posiadłości pana Kuwickiego. Jest to obok pana Przybyły — pioniera osadnictwa rekreacyjnego na tym terenie z początku lat siedemdziesiątych jedyny człowiek, który stał się prawnym właścicielem poprzez akt notarialny i zyskał legalne pozwolenie na budowę. W głębi posesji stoi stabo widoczny zza ogrodzenia, lecz okazały dom, którego pan Bogusław Pastuch, inspektor zarządcy może jedynie tyle, że stoi w nieprzejętej odległości od brzozy rzeki — mniejszej aniżeli sto metrów.

Nas, dziennikarzy, nurtują wątpliwości spoza paragrafów. Oto za domem jest skarpa i jeden z najpiękniejszych widoków na rzekę. Niedostępny dla ogółu, co najwyżej dla gości. Jest to więc widok zakupiony, stanowiący prywatną własność jak i inne kawałki lasów czy też nadwodnych brzegów. Chętnych na zakup fragmentu rzeki, najlepiej z zakretem, znalazłoby się w kraju wielu. Tylko jak tę Polskę sprawiedliwie podzielić na działki? Teoretycznie, gdyby wziąć pod uwagę cały obszar kraju, to

MOP nr 87... IX Zjazd Delegatów Związku zgłasza (...) kategoryczny protest i postanawia decyzyjnie tych nie respektować. Oczekujemy podjęcia niezwłocznych i skutecznych kroków w celu uchylenia tego punktu wytycznych...

Zjazd uchwałił również inny list. Do NSZZ „Solidarność” w fabryce obuwia w Słupsku, skąd przyszedł protest przeciw zawartej 22 września br. umowie między ZG Włóknarzy, a MPL, która dotyczy realizacji całego pakietu postulatów robotniczych. NSZZ uważa, iż umowa nie odzwierciedla w pełni potrzeb. Protest taki delegaci mogli przeczytać także w biuletynie pt. „Solidarność Ziemi Łódzkiej”, wydawanym przez łódzki MKZ, a wywieszonym w gablocie nie opodal sali obrad zjazdu. Zresztą i radiowęzeł Domu Technika, obsługujący obrady, w czasie przerwy nadawał informacje NSZZ.

Z różnych więc źródeł, w tym wystąpienia przewodniczącej ZG Zw. Zaw. Włóknarzy Barbary Natorskiej, delegaci mogli się dowiedzieć o powstaniu w Łodzi, jako stolicy przemysłu lekkiego, Komisji NSZZ do Spraw Włóknarzy, która chce reprezentować interesy swych członków wobec władz lokalnych i resortu. Oba związki podjęły dialog w celu współpracy i wspólnego reprezentowania załóg. Przede wszystkim chodzi o współdziałanie na szczeblu zakładowym, gdzie na bieżąco załatwia się wiele zbiorowych i indywidualnych spraw ludzkich.

We wspomnianym liście do NSZZ zjazd stwierdził, iż jest przygotowywana i będzie podpisana nowa umowa z ministrem. W pracy nad jej treścią i jej podpisaniu powinni uczestniczyć przedstawiciele „Solidarności”.

TWARDA RZECZYWISTOŚĆ

W wystąpieniach delegatów było wiele ostrych i gorzkich słów. Z troską mówili o ciężkiej sytuacji gospodarczej kraju, o tym, że załogi z niepokojem spoglądają w niejasną przyszłość. Braki na rynku wyraźnie się pogłębiają, są trudności w zakupieniu podstawowych na zimowe zapasy artykułów, jak ziemniaki i węgiel. Podkreślali, iż jak najszybciej trzeba uporządkować sytuację w kraju i wziąć się solidnie do roboty. Dla siebie, dla zaspokojenia własnych potrzeb.

Minister przemysłu lekkiego Władysław Jabłoński przedstawił na zjeździe dobitnie, twardo i jasno istniejącą sytuację. Dokoła rozlegają się głosy o nowe podwyżki płac i różne uprawnienia, w których wyniku byłaby mniejsza

produkcja a więcej pieniędzy na rynku. W wyniku wprowadzenia w przemysł lekkim wolnych sobót, wszystkich w roku 1981, grozi zmniejszenie zaopatrzenia rynku o wyroby wartości 24 mld zł. Niezwłoczne zlikwidowanie trzeciej zmiany to strata wyrobów wartości 70 mld zł. Już w obecnej sytuacji plan produkcji MPL na rok przyszedł musi być niższy od wykonania w br. I to sytuacji, kiedy podwyższano zarobki w drugiej kolejności po żywności cisa na te właśnie artykuły.

MPL otrzymało na podwyżki 1,750 mln zł. Dzieliąc przez ilość zatrudnionych w resortie wypada 640 zł na osobę. Wynikłe stąd sumy otrzymały zakłady do podziału w aktualnej podwyżce, z tym, że od tej sumy odejmuje się podwyżki, z których skorzystały załogi w ostatnim trzech miesiącach. Wynikła stąd fala dyskusji, a nawet żądania nowe — obecna podwyżka powinna działać wstecz — od 1 września. W MPL potrzeba byłoby jeszcze 790 mln zł. Czy dawać dalej papiery wartościowe, które wobec deficytu towarów staną się bezwartościowe?

Trzecia zmiana. Resort jest za zniesieniem, ale rozważnym, gospodarskim. Ministerstwo widzi całą humanitarną stronę zagadnienia. W początkach przyszłego roku przedstawi związkowi zawodowemu program w tej sprawie. Wieleletni.

Zjazd ze swej strony postanowił powołać zespół ekspertów, wyliczyć straty i zyski, jakie wynikłyby ze zniesienia pracy nocnej w przemyśle lekkim do końca 1983 r. Związek Włóknarzy chce wypracować w tej sprawie własne nieogłoszone zdanie.

Obok tych zasadniczych dla załóg spraw — bytowych, socjalnych, warunków pracy, delegaci wiele uwagi poświęcili odnowie działania swego związku. Przeobrażenia muszą być zasadnicze. Szereg z nich zapisano w nowym statucie związku, który na zjeździe przyjął nazwę: Niezależny Zw. Zaw. Prac. Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego w Polsce. Związek wystąpił o CRZZ i ustalił, iż nie uznaje nadrzędności WRZZ nad radami zakładowymi w przemyśle lekkim. W uchwale programowej zaakcentowano, iż główny ciężar pracy związkowej skoncentrowany zostanie w organizacjach zakładowych, wśród ludzi pracy.

Wybory nowych władz, według nowego statutu, w pełni demokratyczne, wyłoniły nowy Zarząd Główny Związku. Trzy czwarte jego składu to ludzie, w większości robotnicy wybrani po raz pierwszy. Ze starego kierownictwa ZG w ogóle kandydowały tylko dwie osoby. Fakt ten ma swoją wymowę.

Sprawy, które w tamtych latach najbardziej absorbowaly Związek Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi, to: nędza wśród nauczycieli, opieka nad repatriantami i walka o niezależność związku. Szczególnie ciężka była dola emerytów. Niektórzy giną z głodu, niektórzy nawet zębrzą. Zdarza się, że od 6 lat nie otrzymują emerytury. Łącznie skomplikowane są sprawy repatriantów przejmowanych przez PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny). Ze sprawozdania z działalności ZNP w okresie od 16.IV.45 r. do 8.XI. 45 r. wynika, że 56 proc. wszystkich spraw, jakimi związek się zajmował, to resort obrony prawnej (ogółem 1085 spraw), głównie — repatriantów i aresztowanych nauczycieli. W Łodzi, w sierpniu 1945 r. niezależnie od ZNP Urząd Wojewódzki udzielił tysiącłotowych zapomóg 30 wdowom po zamordowanych przez hitlerowców nauczycielach. Zarząd Okręgowy organizuje Sekcję Samopomocy Prawnej, (skład: Stanisław Świeliczek, Aleksy Norwinski, Weronika Kowalska i Stefania Gruszczyńska. Ogromowi potrzeb nie można było podać, mimo sum pływających z Okręgowej Spółdzielni Nauczycielskiej, dotacjom z województwa i Zarządu Głównego. W dalszym ciągu napływają z powiatów meldunki o nauczycielskiej nędzy. Na Zjeździe Delegatów 21.X.45 r. przedstawiciel Łowicza mówi o braku mieszkań dla nauczycieli we wszystkich gminach. Podinspektor już 2,5 miesiąca dojeżdża do miejsca pracy na rowerze (12 km).

Ale oto coraz częściej przychodzą do okręgu wiadomości o aresztowaniach wśród nauczycieli zwłaszcza na terenach wiejskich. Zarząd Okręgowy stara się aresztowanym i ich rodzinom przyjąć z pomocą przez zapewnienie im adwokata. Ale Zarząd Główny odmawia przydzielenia odpowiednich sum. W tej sytuacji odwołaliśmy się do członków, by wpłacili jednorazową dobrowolną danią na koszty obrony prawnej aresztowanych kolegów.

Ta sprawa — aresztowań nauczycielskich wymaga pewnego komentarza: były one niekiedy wynikiem nie do końca przemysłowego stosunku do tzw. ujawniania się byłych żołnierzy AK i BCh, zdarzały się wypadki fałszywych oskarżeń będących skutkiem jakichś osobistych rozrachunków. Ale głównie, tak mnie się przynajmniej wydaje, były one konsekwencją wierności raz zajętemu stanowisku w stosunku do ówczesnych nurtów politycznych. Mam na myśli stosunek do Mikołajczyka i PSL. Ciesławowi Wycechowi, wybitnemu przywódcy ZNP, b. członkowi delegatury i działaczowi PSL stosunkowo łatwo przyszło porzucenie swojej wiary politycznej i dokonanie pewnego manewru, dzięki któremu niemal z dnia na dzień stał się znów przywódcą ugrupowania politycznego zupełnie innego niż poprzednie. Tyle, że to ugrupowanie nie miało raczej zwolenników. Chłop bowiem, a z nim i nauczyciel wiejski, z tego środowiska wyrosły, z tym środowiskiem żyły nie potrafił dokonywać takiej żonglerki światopoglądowej. Nie może

w piątek nazwać czarnym to, co w środę było białe. Dzięki temu nasz były przywódca stracił mir u ludzi, ale u władz zyskał pochwałę i awans, o jakich mu się zapewne nie śniło. A nauczyciel wprawdzie nie stracił własnej twarzy wśród chłopów, ale u władz był widziany jako „element”. Trochę obcy klasowo, trochę podejrzanym. (Ci zaś nauczyciele, którzy z przekonania opowiedzieli się po stronie rewolucji, swoją wierność władzy ludowej przypłacili czasem życiem. Ale to było już w latach pięćdziesiątych).

Na razie mamy rok 1946 i główną troską naszego Zarządu Okręgu ZNP jest, jak pomóc nauczycielom w ich biedzie. Możliwości nasze były

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

BYŁO TAK I SIĄK

bardzo nikłe: na posiedzeniu pod koniec stycznia wiceprezes Norwinski komunikuje, że oto udało mu się zdobyć dla związku 380 ton węgla, po 1/2 kg wełny dla nauczyciela, 5 tysięcy talonów na żelazki i podwyżkę pensji na miesiąc luty o 600 złotych. Na większości posiedzeń zarówno plenarnych jak i przydzium przewijają się owe właśnie „sprawy bytowe”. Dziś (mimo nie najlepszej jeszcze sytuacji nauczyciela) brzmią one wprost egzotycznie. Dla ilustracji jeszcze kilka przykładów: Na posiedzeniu zarządu 3.XI.46 roku postanowiono wystąpić do Centralnej Komisji Zw. Zaw. o przydzielenie zegarków dla nauczycieli i o znizki tramwajowe dla emerytów; w dwa tygodnie później potwierdza się przyjęcie 3 bel darów UNRRA. Postanowiono bieliznę i garderobę z tych bel rozdzielić oddziałom powiatowym proporcjonalnie do liczby członków (na jednym z plenów przedstawiciel Łęczycy stwierdził, że cały przydział... odesłano do okręgu z powrotem, ponieważ „były to wprost łachmany”). 22 listopada Urząd Wojewódzki przydzielił kolejne 3 bele darów UNRRA. (Potocznie mawiano się wtedy „Ciotka Unra”), również Kuratorium dla

potrzeb okręgu przydziela „pewną ilość koszul męskich, butów, kuponów wełnianych na płaszcze i ponczochoy”. Z podobnych przydziałów korzystać będzie związek i w roku 1947. Sytuacja materialna bowiem nie ulega poprawie.

Sprawa, jak się później okazało, beznadziejna, była obrona statutu związku, a zwłaszcza dwóch jego postanowień. Zakazu przyjmowania do ZNP pracowników administracji szkolnej (członkowie ZNP przechodzący do pracy w nadzorze pedagogicznym otrzymywali urlop organizacyjny) i — tajność wyborów. Ostatecznie po wizycie kol. Wojciecha Pokory z Zarządu Głównego, który oświadczył, że „zgodnie z polityką pionową, jaką formowała CKZZ, przyjeżdżamy w poczet członków naszego związku pracowników administracji szkolnej i pracowników fizycznych”. Protestowaliśmy przeciw temu, że to jest wbrew statutowi i uchwałom Zjazdu Bytomskiego (było się na tym zjeździe, było).

Drugą sprawą, z którą musieliśmy się pogodzić pod naciskiem WKZZ, to jawne wybory i obecność na naszych posiedzeniach przedstawicieli Międzypartyjnej Komisji Porozumiewawczej. (Jawne wybory, najczęściej na listę, umożliwiał „wybór” kandydata „przyniesionego w teczkę”). Na próżno prezes Zarządu Okręgu kol. Stanisław Świeliczko tłumaczył, że „Statut ZNP nie przewiduje okoliczności, by osoby postronne brały udział w posiedzeniach Zarządu Okręgu, bowiem wszyscy członkowie zarządu powinni być wybrani przez zebranie plenarne”.

Ostatecznie powołaliśmy do życia Sekcję Administracji Szkolnej, tym bardziej, że jej przewodniczącymi (a tym samym i członkami zarządu) byli ogólnie szanowani: kol. Jan Zaczek, naczelnik Wydziału Szkół Powiatowych i Eustachy Seniow — kurator Okręgu Szkolnego Łódzkiego.

Atmosfera życia związkowego staje się coraz bardziej duszna. Wywołanym w duchu autentycznej demokracji i liberalizmu trudno nam się z wielu narzucenymi sprawami pogodzić. Przedstawiciel WKZZ na posiedzeniu zarządu oświadcza, że „Statut ZNP nie może być podstawą, bo jest już przestarzały”. Kurator Seniow interpelowany na jednym z posiedzeń w sprawie udziału przedstawicieli urzędu bezpieczeństwa na naszych zebraniach organizacyjnych wyjaśnia, że „ich rola ograniczona jest do wygłoszenia i przyjęcia powitania...”. Sytuacja szkolnictwa jest nadal bardzo ciężka.

Na jednym z ostatnich posiedzeń zarządu prezes wyzywa nas do wytrwania w pracy do końca kadencji. Wszyscy zdają sobie już sprawę, że nasze funkcje związkowe dogorywają. Istotnie Zjazd Okręgowy w dniach 17—18 lutego 1948 roku wybiera nowe władze związku, do których nie wszedł prawie nikt z dawnego zarządu.

Fragmenty wspomnień Mieczysława Woźniakowskiego z lat 1945—50. Wspomnienia te ukazały się wkrótce wydane pt. „Było tak i siąk” przez Wydawnictwo Łódzkie.

każdy statystyczny obywatel ma/aby prawo do swojego skrawka ziemi, zgodnie z normatywnym czyli z zarządzeniem nr 12 ministra administracji, gospodarki terenowej i ochrony środowiska z 14 czerwca 1980 roku. Stwierdza ono, że wielkość działki letniskowej powinna wynosić od 600 do 800 metrów kwadratowych. Praktycznie jest to niemożliwe. Cała ta myśl o kupowaniu krajobrazu wywołuje nam się, szczególnie w tym słonecznym październikowym dniu czymś zupełnie abstrakcyjnym i absurdalnym. Rozsądek dyktuje, by działki te nabywali

czowisk? To, że do dziś mogą oni przedstawiać jakoweś akty kupna ziemi od rolnika sprzed roku 1971 i na tej podstawie, ewentualnie, uzyskiwać akty własności od naczelnika gminy. Czy w każdej gminie i od każdego? Na pewno nie. Bywali jednak tacy w kraju, jak były naczelnik gminy Poświętne Ciesław Kacprzak, który wydał akty własności na terenach nie wyznaczonych pod prywatne budownictwo letniskowe. W miejscowości Ponikla przed dziesięć laty było dwóch daczmenów, z latami przybywa ich przede wszystkim z terenu Łodzi. Tuzyn, gdzie jest około pięciuset, czyli połowa ogółu działek letniskowych w województwie piotrkowskim, okazał się dla łódzian za ciasny.

W gminie Poświętne kilkadziesiąt aktów wydanych zostało na podstawach ówczesnych wpiwości. W latach 1976—79 w Poniklu Małoszewskich i Wólce Kuligowskiej. Byli naczelnik nie może udzielić nam wyjaśnień, jako że od niedawna zatrudniony jest w innym województwie. Zostawia wszakże rozwiązanie tego problemu — zarządzenie ze stycznia 1980 roku o odstąpieniu od obowiązującego uproszczonego planu zagospodarowania przestrzennego z roku 1974, na rzecz nowego. Ten nowy plan, wykonany społecznie przez mgr inż arch. Augusta Situka, uzyskał akceptację dyrekcji Wojewódzkiego Zarządu Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Piotrkowie. Do tej pory jednak nie jest zatwierdzony przez Gminną Radę Narodową w Poświętnem.

DOJAZD I DOJŚCIE

Ciekawo, dosyć typowy skład socjalny daczmenów. Trochę osób ze sfer artystycznych, plastyk, dyrektor teatru, dekorator, pracownicy Fabryki Osprzętu Samochodowego „Pomo” w Łodzi. Apetyt jest u niektórych osób tak duży, że posiadają w gminie nie jedną działkę, lecz dwie. Z „Pomo” po dwie działki mają na przykład: Jerzy Kujawa (3 tys. 800 i 2 tys. m kw.), Zdzisław Majewski (3 tys. i 2 tys. m kw.), Stanisław Ostrowski (o tym samym co poprzednik obszarze).

Chęć na działkę to mało. Trzeba mieć jeszcze możliwości dojazdu oraz tak zwane dojście. Któż bowiem bez samochodu pchałby się na odległy teren rekreacyjny? Któż bez możliwości załatwienia materiałów budowlanych? I któż

wreszcie bez zrozumienia u piotrkowskich władz konkretniej — u naczelnika? O tym, że są to osoby w pełni zasługujące na poparcie i zrozumienie świadczy ich podanie oraz motywacje naczelnikowskich decyzji. Bardzo ciekawe do poczytania i zastanowienia.

Z uwagi na to, że akt własności nie równa się jeszcze pozwoleniu na budowę, naczelnika gminy i wyżej szano pisma, a to o uchyleniu decyzji rozbiórki, a to o zalegalizowaniu istniejącego stanu faktycznego itp. Najtrudniejsze w tym wszystkim życie ma inspektor do spraw budownictwa. Jakoś jednak ocalał, mimo że w orzeszności straszono go samą egzekutywą i zwolnieniem z pracy. Przejrzmy wszakże do lektur.

...proszę o zalegalizowanie istniejącego stanu rzeczy — pisał pan Wojciech Rydel — w tak ważnej dla mnie sprawie, bacząc jednocześnie na moje przywiązanie do tego terenu”. No i naczelnik „baczył” na owe przywiązanie, choć nie wiadomo skąd się ono wzięło i jest argumentem tak wysokiej rangi. Przedłużał termin wykonania rozbiórki, uzasadniając, że „obiekt letniskowy jest niezbędny obywatelowi do wypoczynku całorocznego w powyższej miejscowości”. Pan Wojciech Rydel musiał mieć w województwie piotrkowskim nie lada mir skoro zapłaciwszy w kolegium 5 tys. zł za niezlegną budowę odwołał się do Komisji Orzeczeniowej do Spraw Wykroczeń przy województwie piotrkowskim i komisja zajęła stanowisko z korzyścią dla ukarzanego.

Inspektor Pastuch zapytany dlaczego to było możliwe, czy inne prawa są w gminie, a inne na szczeblu wojewódzkim, odpowiedział, że prawo jest jedno i nie można budować bez zgody władz. W tym przypadku chodziło oczywiście o wysoką pozycję daczmena. Z Urzędu Gminy w Tuszynie, z referatu ewidencyjnego ludności nadeszła wiadomość, że pan Wojciech Rydel jest dyrektorem teatru w Łodzi. No, to już jest ktoś... Nawet na terenie Piotrkowskiego, choć nie nam nie wiadomo, by władze miały w planach powołanie teatru muzycznego.

Uwzględniona zostaje i motywacja pani Bittorf: „niezależnie ode mnie, czas na działkę spędzają zdrowotnie moi rodzice”. A zdrowie jej i rodziców naczelnik ocenił, jak widać, wysoko. W takim razie czy można się dziwić, że w styczniu 1979 roku pan Jacek Mackiewicz,

bez pozwolenia na budowę, jak pisze inspektor do spraw budownictwa, „zrealizował na działce leśnej obiekt letniskowy”. Mogą inni, dlaczego nie ja?

Charakterystyczne jest to, że najbardziej kompetentny w tych sprawach wspomniany wyżej inspektor, mimo konsekwentnej obrony litery prawa praktycznie nie ma wpływu ani na przydział działek, ani na ich zagospodarowanie.

Obowiązek lustracji budownictwa letniskowego w całym kraju nałożony został przez ministra administracji. Jeżdżą więc w teren o walorach letniskowo-rekreacyjnych pracownicy Wojewódzkiego Biura Planowania i Przestrzennego. Także Wojewódzkiego Biura Geodezji, w związku z doraznym zarządzeniem wicewojewody, które obejmuje grunty rolne.

Co z tego może wynikać?

— Myślę, że nie — mówi zastępca dyrektora Wojewódzkiego Biura Geodezji i jednocześnie zastępca wojewódzkiego zespołu do spraw lustracji budownictwa letniskowego Marian Redel. — Przecież prawo jest nie od dziś, nieraz tego rodzaju komisje powoływano. Tak prywatnie mówiąc, to trudno ustalić czy grunty na działkę zakupiono przed rokiem 1971, czy też później. Mało to razy mówilo się o tym, że ustawa o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych ma za długi żywot!

W istocie, przecież to dziwne, że ludzie wykształceni, a spośród takich głównie pochodzą daczmeni, dopiero po paru dobrych latach przypominają sobie, by w oparciu o ustawę zalegalizować swój stan posiadania.

Jak wyciągnąć konsekwencje w stosunku do osób naruszających prawo — to jeden trudny problem. Drugi natomiast — jak zmienić naszą świadomość? Jak dotrzeć do umysłów i wpoić, że wszyscy są i muszą być przed jego obliczem równi?

Pracownica Wojewódzkiego Biura Geodezji, która sporządza spis osób i obiektów budzących wątpliwości, nie chce w żadnym wypadku ujawnić swojej moralnej oceny.

Definitywnie o sprawie — mówi — wypowiedzieć się mogą członkowie zespołu orzekającego, to znaczy Komisji Uwalaszczeniowej przy Wojewódzkim Biurze Geodezji. Jej przewodniczącym jest dyrektor Redel.

NA SPRZEDAŻ

tylko wybrani. Tak rodzą się przywileje. Czy nie wiedzieli tego ci, którzy ustanawiali prawa? Z LEWYM PRAWEM

Przeciętnemu daczmenowi wolno uprawiać miłość do natury na terenach wyłączonych do tego celu wyznaczonych. W gminie Poświętne, na terenach rozleglejszych niż przewidywał plan zagospodarowania przestrzennego, działki mają przeważnie po 3 tys. m kw. W jaki sposób można uzyskać obszar kilkakrotnie większy niż przewiduje poprzednio wspomniane zarządzenie? Dość prosto.

Pomógł daczmenowi ustawa z dnia 26 października 1971 roku o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych. Ustawa obejmowała i obejmuje, gdyż nadal ma moc obowiązującą, ziemię i nieruchomości wchodzące w skład gospodarstwa rolnego, które do dnia 4 listopada 1971 roku były w posiadaniu rolnika i na które rolnik nie miał prawnego tytułu. Ustawa legalizowała i legalizuje, działając wstecz, wszelkie prywatne umowy kupna i sprzedaży ziemi. Jej główną intencją było wprowadzenie porządku prawnego, dość pogmatwanego na polskiej wsi, co budziło nastroje niepewności, jeśli chodzi o stan posiadania.

Co ma wspólnego ta ustawa z amatorami dacz-

A jak widział Włodzimierz Lenina jego bezpośredni współpracownik z tego okresu — Lew Trocki. Laszko Gyurko w książce „Lenin — Październik” cytując fragment wspomnień Lwa Trockiego.

„Jeśli bym próbował przywołać w myślach wizerunek Lenina, Lenina stojącego na trybunie, jeśli bym próbował zrobić to z taką samą bezstronnością jak wówczas, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, to widzę przed oczyma naskiego, krepkiego, muskularnego mężczyznę, od którego bije wewnętrzne napięcie, słyszę jednostajne, płynne, wartko, niemal jednym ciągiem wypowiadane słowa z gardłowym „r”, słyszę przemówienie w początkowych frazach w ogóle nie akcentowane.

Pierwsze zdania są zawsze ogólnikowe, głos wyciekający. Jakby mowa nie zapała jeszcze równowagi, jakby nie znalazł jeszcze właściwych gestów i form. Nie patrzy na salę, spojrzenie kieruje raczej w głąb, twarz ma nieprzyjną, maluje się na niej złość — myśl szuka kontaktu ze słuchaczami. Ta wstępna część trwa dłużej lub krócej, w zależności od słuchaczy, tematu, nastroju mówcy. Ale nagle wpada w rytm. Temat zaczyna się przyoblekać w kształty. Mówca przechyla głowę, część ciała od przodu, oba kciuki wkłada gdzieś pod pachy za kark. Dzięki temu ruchowi głowa i ręce zostają nagle zaakcentowane.

Sama głowa nie wydaje się wielka w stosunku do mocnego, krepkiego, rytmicznie poruszającego się tułowia. Ale potężnymi wydają się w tej głowie czoło oraz wyrazisty zarys łysej czaszki. Ręce są niezwykle ruchliwe, lecz nie rozgłaszające czy nerwowe. Szeroka „plebejska” dłoń o krótkich palcach wyraża tę samą godną zaufania, zdecydowaną wolę, co cała postać...”

II Zjazd Rad powołał pierwszy radziecki rząd, na czele którego stanął Włodzimierz Lenin. Nadal kieruje partią. Wydaje szereg poleceń, wysyła telegramy, listy, pisze artykuły, przemawia. Na początku listopada 1917 roku zwraca się do Lenina rumuński dziennikarz Cocea, przedstawiciel Międzynarodowego Stowarzyszenia Informacyjnego prasy robotniczej Ameryki, Francji, Anglii z następującymi pytaniami:

1. Czy rząd komisarzy ludowych będzie w dalszym ciągu prowadzić z taką samą energią swą dotychczasową politykę wewnętrzną i swą politykę zewnętrzną, zmierzającą do pokoju na arenie międzynarodowej?

2. Jakie to wielkie reformy projektuje obecny rząd, aby ustanowić w Rosji ustrój socjalistyczny?

3. Czy po zwołaniu Zgromadzenia Ustawodawczego rząd komisarzy ludowych będzie odpowiadał przed nim, podobnie jak to się dzieje w państwach konstytucyjnych, czy nie?

4. Czy sądzicie, że pokój zaproponowany przez Rosję położony kres światowemu militarystyce?

5. Kiedy i w jakim trybie zamierzacie rozpocząć demobilizację Rosjan?

6. Czy uważacie za rzecz możliwą w obecnej sytuacji Europy pełne wprowadzenie socjalizmu?

Włodzimierz Lenin uznał te pytania za niezwykle istotne dla czytelników prasy robotniczej w Europie i w Ameryce i nim na nie

nia 1917 roku Włodzimierz Lenin wysłał do Komitetu Piotrogrodzkiego partii następujące pismo:

„Proszę przysłać co najmniej 100 absolutnie pewnych członków partii do pokoju nr 75, II piętro — komitet do walki z grabieżami. (Dla pełnienia służby komisarzy).

Sprawa niezwykle wagi. Partia ponosi odpowiedzialność. Odwołajcie się do dzielnic i fabryk”.

WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN — PAŹDZIERNIK — 1917

odpowiedział wysłał do Międzynarodowego Stowarzyszenia Informacyjnego prasy robotniczej Ameryki, Francji i Anglii list następującej treści:

„Gotów jestem odpowiedzieć na Wasze pytania, jeśli zagwarantujecie mi w sposób całkowicie formalny i sprecyzowany, po pierwsze, że przekazacie swoje informacje całej prasie robotniczej, tzn. również organom prasowym kierunkowi międzynarodowemu (Haywood, Socjalistyczna Partia Pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki, Tom Mann i Brytyjska Partia Socjalistyczna w Anglii, Loriot i jego przyjaciele we Francji itd.), po drugie, że moja odpowiedź będzie podana bez żadnych zmian, tzn., że macie prawo nie opublikować mojej odpowiedzi, ale jeśli ją opublikujecie to nie macie prawa nie zmienić w moim tekście...”

Cocea zapewnił Lenina, że jego warunki zostaną dotrzymane. Lenin na tym liście napisał: „Odpowiedź udzielono 10. XI. 1917”. Tekstu odpowiedzi nie udało się odnaleźć.

Burżuazja nie złożyła broni mimo zwycięstwa rewolucji. W różny sposób próbowała podważyć zaufanie do władzy radzieckiej. W listopadzie i grudniu 1917 roku z inspiracji kontrrewolucjonistów dokonano grabieży, między innymi również sklepów z wodką. W Piotrogrodzie ogłoszono stan oblężenia. Powołano komitet do walki z grabieżami. W połowie grudnia 1917 roku wykryto tajną organizację kadecko-czarnosecińską dążącą do obalenia władzy radzieckiej. Do walki z kontrrewolucją potrzebni byli zahartowani komuniści. 8 grud-

Nadszedł rok 1918. Rosji wyniszczonej wojną groziła głód. Kontrrewolucjoniści nadal próbowali obalić władzę radziecką. Młode państwo socjalistyczne organizowało się z trudnością. Wszędzie piętrzyły się przeszkody. 26 stycznia 1918 roku (według nowego stylu) Włodzimierz Lenin wysłał telegramy do Charkowa i Moskwy.

„Otrzymałmy wiadomość, że między Orlą a Kurskiem powstał zator, który przeszkadza w kursowaniu pociągów z węglem i zbożem. Każda chwila zwłoki grozi głodem i przerwą w pracy przemysłu. Podejrzewamy na tych terenach sabotaż kolejowy, jako że niejednokrotnie miały tam miejsce wypadki sabotażu. Uścinie prosimy o zastosowanie najbardziej bezlitosnych środków rewolucyjnych. Prosimy skierować oddziały absolutnie pewnych ludzi. Dołożyć wszelkich sił, by wagony ze zbożem dotarły do Piotrogradu, w przeciwnym razie zagraża nam głód. Wsadzajcie na parowozu po kilku marynarzy lub czerwonoogwardzistów. Pamiętajcie, że w waszych rękach leży ocalenie Piotrogradu od głodu”.

W dwa dni później znów telegram do Charkowa.

„Na miłość boską, podejmijcie najbardziej energiczne i rewolucyjne kroki, by wysłać zboże, zboże i zboże!!! W przeciwnym wypadku Piotrogrod może zdieknąć. Specjalne pociągi i oddziały. Zbiór planów i zyp. Pociągi pod strażą. Codzienne meldunki. Na miłość boską!”

Nic bardziej od treści i formy tego telegramu nie jest w stanie oddać grozy ówczesnej

sytuacji i wielkiego nia przejęcia się Włodzimierza Lenina.

Państwo radzieckie mimo kłopotów i przeszkód rozwijało się nieprzerwanie. Również i Włodzimierzowi Leninowi przybywało spraw i kłopotów 19 lutego 1918 roku pisze list do Feliksa Dzierżyńskiego.

„Towarzyszu Dzierżyński” — Oddawca niniejszego, Sidorenko, był moim osobistym sekretarzem w ciągu kilku dni. Byłem z niego bardzo zadowolony. Zwolniono go, ponieważ — jak mi doniesiono — w stanie nieatrakcyjnym krzyczał, że jest „sekretarzem Lenina”.

Sidorenko mówi, że głęboko ubolewa i żałuje swego czynu. Ja osobiście skłonny jestem w całej pełni wierzyć mu; chłopak młody, wydaje mi się, bardzo dobry. Trzeba być dla młodych pobłażliwym.

Na podstawie tego wszystkiego zadecydujcie sami, zależnie od tego, na jakie stanowisko macie zamiar wysunąć go”.

Włodzimierz Lenin — jak z tego widać — był człowiekiem sprawiedliwym. Potwierdza to fragment innego listu, a właściwie telegramu do Archangielska wysłanego około 21 kwietnia 1918 roku.

„Skoro bowiem nieobłudnie uczymy robotników i chłopów przestrzegania dyscypliny, to obowiązani jesteśmy zacząć tę naukę od samych siebie”.

Włodzimierz Lenin wielką wagę przywiązywał do sprawnego funkcjonowania prasy, do przekazywania ludziom informacji. 27 kwietnia 1918 roku napisał taki oto list do Biura Prasy przy Radzie Komisarzy Ludowych:

„Bardzo proszę o udzielenie pomocy oddawcy niniejszego, towarzyszu Hombergowi, w zgromadzeniu materiałów (prasowych) związanych z naszą rewolucją. Sprawa ta ma poważne znaczenie społeczne, ponieważ od tego uzależniona jest informacja Ameryki i całego świata”.

20 maja 1918 roku instruując szefa Komisariatu Aproprowiacji A. D. Ciurupę o zadaniach i organizacji pracy komitetów aproprwacyjnych w Rosji, kończy takim zaleceniem:

„Wszystko to bardzo szczegółowo i bardzo popularnie wyłożyć i opublikować drukiem”.

Włodzimierz Lenin, choć był politykiem, szefem partii, wodzem rewolucji, mężem stanu, uważał się też za dziennikarza. Około 22 października 1918 roku napisał podanie do Komitetu Związku Zawodowego Dziennikarzy Radzieckich:

„Proszę przyjąć mnie w poczet członków związku zawodowego dziennikarzy radzieckich”.

Tekst tego podania opublikowała „Prawda” 24 października 1918 roku.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

POEZJA

JOZEF NONESZWILI

JESIEŃ W TBILISI

W alei Rustawego najprędzej spotkasz jesień.
Wiatr liście płatanów zrywa, sobie pod nosi niesie.

Przybiegnie tutaj z Kachetii¹⁾ jak szybkonogi goniec
I już Tbilisi w owocach i w aromacie tonie.

Stanie przechodzień i szepnie: trudne do uwierzenia,
Już pewnie zapachem wina oddycha cała ziemia.

A potem na pierwszy z brzegu rynek pośpiesznie wkroczy,
Aby tam jesień gruzińską ujrzeć na własne oczy.

Wśród przystrojonych straganów i ław z drewnianych bal
Każdy plon swego ogrodu i swego trudu chwali.

Oto zebrano się tutaj tyle bogactwa dzisiaj,
Aby radością wypełnić po brzegi gród Tbilisi.

Wina przelewa się morze, owoców sterty jak w sadach,
Na wietrze kobiece chustki jak dziwnych ptaków stada.

Za ładą rozpromienione jak gwiazdy bez księżycy,
Dziewczęta — jedna z nich smagła, a druga śnieżnolica.

Na lewo lśnią pomarańcze, na prawo jabłka płoną,
Bukłaki o słupach wsparte niby płaków grono.

A tam, gdzie złociste ajwy i słodkie czurczehy²⁾ błyszczą,
Wiszą kozice ubite na aragwijskich pastwiskach.

— U mnie jest nektar prawdziwy, spróbuj, uczynisz mi łaskę! —
Młodzieniec chwali swe wino, klarowne kardanachskie³⁾.

Chłop z Imeretii⁴⁾ twe serce mową podbić się stara:
— Nie kupuj u mnie lecz spróbuj, a wtedy kupisz zaraz!

Z Ateni i Chidistawi⁵⁾ kosze rumianych brzoskwiń,
Wieśniacy sławią pod niebo głosem namiętnym i ostrym.

Oto zebrano się tutaj tyle bogactwa dzisiaj,
Aby radością napłenić po brzegi gród Tbilisi.

Jesień wbiegła do miasta na place i zaułki,
Leżące liście trzepoczą niby skrzydłami jaskółki.

Czy to jesienny wiatr wieje, czy dzień się w słońcu plawi?
Słiznotki gwarzą radośnie — czy wiatr to wszystko sprawił?

Koral się mieni i bursztyn, barwa z barwą się bawi,
Szeleszczą dziewczęce suknie — czy wiatr to wszystko sprawił?

Krag słońca wzbili się wysoko i nad obłokiem zawisł,
To pieśń miłości rozbrzmiewa — czy wiatr to wszystko sprawił?

Jesień przyniosła tutaj tyle bogactwa dzisiaj,
Jak szczydły gospodarz, gości przyjmuje gród Tbilisi.

1950

Czemuż tak spóźnione to nasze spotkanie?
Wiem,
że porę swoją ma wiosna i jesień,
Lecz skąd w sercu smutek osiadł niespodzianie
I uroczę imię skąd ten wietrzyk niesie...?

Poezi na wschodzie, słowem mogę ręczyć,
Inaczej opowieść snuliby ochoczo,
Brwi twe porównując z cienkim łukiem tęczy,
A z perłami błyski twoich smutnych oczu.

I z pieśnią słowika, dzwoniącą o świcie,
Zbrataliby taką niezłomną urodę
I wpatrzeni w postać twą, w niemym zachwycie
Poszliby za tobą i w ogień i w wodę.

Ja przez długie lata
nie nie dostrzegałem,
Wreszcie dnia pewnego,
już przed samym wschodem,
Zobaczyłem cudo,
kobietę wspaniałą,

Ze smutną iskierką
w oczach już niemłodych.

I w głosie kobiecym usłyszałem blisko
Dźwięki pozaziemskie spływające miękko.

I nie wiem,
być może, że śniłem to wszystko,
Bo nagle nade mną całe niebo pękło.

Migotliwy błękit runął z wysokości,
Oślepiając oczy jasnością promienną,
Wtedy zrozumiałem: w smutku i radości
Już po wieczne czasy pozostaniesz ze mną.

Nie patrz tak z wyrzutem, unieś wyżej głowę...
Czemu w twoich oczach drgają smutku cienie?
To spotkanie piękne i nieprzypadkowe —
Wiedz, że na nie w świecie już go nie zamienię.

Nazwisko twoje nie rodowe,
Mewo skrzydłami w wiatr wpisana,
Więc skąd masz oczy jak królowa,
Nasza gruzińska dumna Tamar?

Gdybym nie ujrzał ciebie z bliska,

To wyniłbym cię w nocnym mroku.
Jesteś aniołem mym kinewiskim⁶⁾,
Narysowanym na obłoku.

Jeśli przysięgnę na twą miłość,
Być może zdolam cię przekonać
Byś szat błękitnych nie nosiła,
Bo biel dla ciebie jest stworzona.

Jeśli przysięgnę na twą miłość,
Być może zdolam cię przekonać,
Byś chmurne brwi rozpoznała,
Boś do uśmiechu jest stworzona.

Nazwisko twoje nie rodowe,
Mewo skrzydłami w wiatr wpisana,
Więc skąd masz oczy jak królowa,
Nasza gruzińska dumna Tamar?

1948

ZNOWU WIOSNA

Makowych dzwoneczków cichutecznie tony.
Znów wiosnie — tancerce pisać się zachciało.
Dzień taki ogromny i tak obnażony,
Ze nie chce się wierzyć w życia krótkotrwałość.

Znowu wiosna w serce wdarła się radośnie.
Czyżby tu naprawdę były kiedyś chłody?
W sadzie pierwszy paczek pękł niemal bezgłośnie
I załśniła wokół zieleni listków młodych.

Nie poddaj się serce — odwagi ci nie brak —
Niech majowy zameł stworzyć cię nie zdoła.
Pozwól mi spokojnie do swej piersi zebrać
Wszystko, co w dniach wiosny, leży dookoła.

Ziemia wspólnie z niebem mnie wychowywała.
Czyż zapomnieć o tym można niespodzianie?!
Świat złożony z ognia i róż śnieżnobiałych
Pragnął zmieścić w sercu po najdalszym kraniec.

Znad pola pszczoł granie ulata w obłoki
I szczydłością z majem zmierzyc by się chciało.
Dzień taki ogromny i taki wysoki,
Ze nie chce się wierzyć w życia krótkotrwałość.

1967

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI

1) Kachetia — wschodni rejon Gruzji.
2) czurczehy — słodkie „kiebaski” z orzechowym nadzieniem, sporządzone z winogronowego soku zmieszanego z mąką.
3) Kardanachi — wioska w Kachetii.
4) Imeretia — rejon w zachodniej Gruzji.
5) Ateni i Chidistawi — wioski w Gruzji.
6) Kincwisi — miejscowość w Gruzji, w której znajduje się świątynia ze sławnym freskiem.

Esej, który przedstawię czytelnikom, powstał pod wrażeniem wieści o nagrodzie literackiej Nobla dla Czesława Miłosza. Zapewne zwlekabym z zapisaniem i opublikowaniem swoich przemyśleń czekając na możliwość gruntownego zapoznania się z dziełami wielkiego Polaka, gdyby nie spowodowana nagrodą potrzeba nagła nas wszystkich, by jak najszybciej, choćby prowizorycznie dotrzeć do tej wspaniałej i mądrej twórczości. Nie czekałem więc, aż rzecz się „jak figa ucukuje, jak tytuł uleży” i ryzykując, iż lektura nieznanym mi dzieł poety i innych, źle osadzonych w zawodnej pamięci, może wprowadzić nawet bardzo poważne poprawki do poniższych przemyśleń, postanowiłem już teraz, odpowiadając na życzliwe zaproszenie redakcji „Odgłosów” podzielić się swoimi refleksjami z czytelnikami.

Zapewne długo będziemy czekać na „obiektywną” monografię pisarstwa Miłosza. Nie tylko dlatego, że w tej chwili trudno wskazać choć jedną osobę, która zna cały dorobek twórcy poety. Ta bogata i wielostronna poezja z pewnością będzie przedmiotem sporów i kontrowersji. Ale też jak twórczość Kochanowskich i Mickiewiczów będzie jednym z punktów węzłowych narodowej literatury.

„Gdybym czytał „Ballady i romanse” jak się czyta je w szkole, musiałbym dojść do wniosku, że autor „Zimy miejskiej” jest w nich co najmniej infantylny (...) Kocham je za wszystkie odcięcia dystansu, jaki miał Mickiewicz do pieśni i baśni Nowogrodziny” (1946 r.).

„Mickiewicz rozumie nie cenil, w duchy nocne wierzył” (1977 r.) Dwadzieścia siedem lat to dużo czasu. Czyżby jednak czas zaczął się cofać? Tuż po wojnie bronił Miłosz Mickiewicza jako poetę rozumnego, świadomie igrającego konwencją ballady ludowej. Ostatnio natomiast przypisuje mu naiwną wiarę w „duchy nocne”?

„Każdy Polak ma prywatne rozrachunki z Mickiewiczem”, a Miłosz zapisał zapewne ich najciekawszą kartę.

W pierwszych latach powojennych, gdy powstawały poematy „TRAKTAT MORALNY” i „TOAST”, powiływał się chętniej na Norwida i Brzozowskiego, zapewne u nich znajdując inspirację dla swego oburzenia na „romantycznych podlegaczy”, którzy „w głębi serca są mocno przekonani, że cywilizacja datuje się od XIX wieku, a reszta jest zawracaniem głowy”. Dodajmy jeszcze jedną cytate: „Trzeba raczej ubolewać, że w Polsce, ile razy ktoś chce przemawiać na tzw. wielkie tematy, tyle razy upada w romantyczną manierę”. Nie dziwny się, że w kontekście takich sformułowań pocie nawet do głowy nie mogło przyjść, że „Mickiewicz w duchy nocne wierzył”.

Kiedy Miłosz budował swój program poetycki w oparciu o koncepcję ironii artystycznej, „cudzego głosu”, nie miał żadnych możliwości traktowania Mickiewicza „dosłownie i poważnie”. W latach późniejszych kierowany własnymi zainteresowaniami i obowiązkiem pracy uniwersyteckiej zwrócił się ku badaniom problematyki zła oraz dziełom inspiracji mniszejskich w literaturze. W czasach panowania rozumu, nauki i techniki mogło to wyglądać co najwyżej na przyczynkarskie w zasadzie badania. W swoich poszukiwaniach jednak spotkał się poeta z pewnymi intuicjami i sformułowaniami filozofii nauki oraz filozofii. Zainteresowany przede wszystkim wartościami etycznymi i estetycznymi, dobrem i złem, ziemią i brzydotą, nie porzucił na obiegowym już przekonaniu, że nauka nie może konstytuować wartości ani ich uzasadniać. W sposób sugestywny i głęboko krytyczny pokazał jak przyjmując naukowe wyobrażenia o świecie, niszczyliśmy ludzkie możliwości ustosunkowania się do wartości i obcowania z nimi. Jak dewastujemy samych siebie jako ludzi. Nie tutaj miejsce na relacjonowanie tych wątków myśli poety. Przyjmijmy je tymczasem bez uzasadnień jako podstawę przekonania o potrzebie życia w innym świecie niż naukowy, w obcość, której nie potrafimy się wyjaśnić, że poeta jest katolikiem, wobec tego śledzenie jego uzasadnień możemy sobie darować.

Zasugerowawszy zaledwie kierunek przemian światopoglądu Miłosza, przyjrzyjmy się ewolucji jego teorii poezji. Wierszem bardzo charakterystycznym dla dojrzałego okresu twórczości poety, pisany w zasadzie w zgodzie z jego koncepcją ironii artystycznej, jest „NIE WIECEJ” (1937 r.). Powinienem powiedzieć kiedys, jak zmieniłem opinię o poezji i jak to się stało. Że uważam się dzisiaj za jednego z wielu Kupców i rzemieślników Cesarstwa Japonii Ukladających wiersze o kwitnieniu wiśni, O chryzantemach i pełni księżyca.

Gdybym ja mógł weneckie kurtyny opisać, jak w podwórzu wiktą drażnią pawia, I z tkaniny jedwabnej, z perłowej przepaski Wyluskać ościące pierś, czerwona Pręga na brzuchu od zapiecia sukni, Tak przynajmniej, jak widział szypier galeonów Przybyłych tego ranka z ładunkami złota; I gdybym równocześnie mógł ich biedne kości Na ementarzu, gdzie brama łączy luster morze, Zamknąć w słowie mocniejszym niż ostatni grzebień, Który w próchnie pod płytą, sam, czeka na światło, To bym nie zwątpił. Z opornej materii Co da się zebrać? Nie, najwyżej piękno. A wtedy nam wystarczyć muszą kwiaty wiśni I chryzantemy, i pełnia księżyca.

„Ironia artystyczna, tak jak ją rozumiem, polega przede wszystkim na zdolności autora do przybierania skóry różnych ludzi i kiedy pisze w pierwszej osobie do przemawiania tak, jakby przemawiał nie on sam, ale osoba przez niego stworzona. Istotny sens utworu zawiera się wtedy w sferze stosunku autora do postaci” — pisał poeta w 1946 roku. Zatrzymajmy się na chwilę przy ostatnim zdaniu cytaty. Czytając „NIE WIECEJ” trudno cokolwiek powiedzieć o stosunku Miłosza do bohatera wiersza — to już wyraźny ślad ewolucji. Cytowane zdanie pochodzi z eseju „LIST POŁ-PRYWATNY O POEZJI”, z czasów batalii w obronie słynnego wiersza „W WARSZAWIE” zamkniętego wydany w 1945 roku tom „OCALENIE”.

Odczytano ten wiersz w sposób błędny, co wyraźnie widać nie tylko w obszernej recenzji Kazimierza Wyki, ale i w szeregu poetyckich replik m.in. Mieczysława Jastruna i Tadeusza Kublika. Bohaterem „W WARSZAWIE” jest poeta biadający „na gruzach katedry Świętego Jana”, że nie może „opiewać festynów i radosnych gań”. Wykę zaniepokoiła postawa bohatera, którego utożsamiał z Miłosem. Zarzucił pocie estetyzowanie: „Dla czego Miłosz marzy o takiej arkadii tkwiąc w samym sercu burzy?”

Ślusnie twórca zwrócił uwagę krytykowi, że jego bohater „biada na ruinach”, a nie odwraca się do nich tyłem, by „opiewać festyny”. W utworze zostało zapisane przekonanie, iż celem poezji jest piękno, ale też zostało zapisane pytanie, czy wobec ogromu nieszczęść, jakie przyniosła wojna, jest jeszcze w świecie miejsce na poezję. Przyjmijmy, że jest to samo pytanie, przed którym stanął Tadeusz Różewicz udzielając na nie w jego mniemaniu ostatecznej odpowiedzi: poezja umiera, poezja jest niemożliwa.

Miłosz byłby raczej skłonny twierdzić inaczej: „Szaleństwo tak żyć bez uśmiechu”. Nie zadowala go proste rozwiązanie: poezja pozostając piękną w obliczu tragizmu odśladania swoją amoralność, wobec tego trzeba ją zlikwidować. To prawda, że tego typu motywacji nie da się ominąć. Oskarżamy poezję, bo bez wątpienia była piękna, kiedy obok ludzi cierpieli. Ale z drugiej strony — „Szaleństwo tak żyć bez uśmiechu”. Miłosz nie prowadzi do takiej konkluzji. Przedstawia argumenty, a dialog toczy się dalej, kontynuują go inni, czytelnicy, poeci, krytycy. Niewątpliwie z wiersza da się odczytać jedno — sympatia i zrozumienie autora dla bohatera — poety, który stanął w obliczu tak poważnego dylematu: albo piękno, albo dobro. W wierszu jeszcze jest zapisany „stosunek autora do postaci”.

Czy da się to powiedzieć o bohaterze wiersza „NIE WIECEJ”? W zasadzie obydwie utwory są o tym samym: istota poezji jest piękno a jej zadaniem „ocalenie” życia przed zniszczeniem i śmiercią. W „NIE WIECEJ”, napisanym ponad dwadzieścia lat później,

rzecz została uogólniona. Nie chodzi już tylko o szczególny przypadek w historii — drugą wojnę światową, lecz w ogóle o sytuację człowieka i jego dzieł tak czy inaczej skazanych na rozkład i zniszczenie. Bohater utworu powołuje się na własną wiedzę o istocie i możliwościach sztuki poetyckiej.

Wiele można powiedzieć o monologującym pocie japońskim, ale chyba nie o stosunku Miłosza do niego. Wiersz jest doskonale usamodzielnionym „cudzym głosem”, wszelkie jego więzy z postawą autora zostały przecięte. Lektura utworu prowokuje do oceny moralnej bohatera. Ale zarówno wtedy, kiedy powiemy, że poeta jest eskapistą, jak i wtedy, gdy stwierdzimy, że postać tragiczna, gdyż poezja rzeczywiście nic nie może, będą to opinie nasze.

JERZY PORADECKI

ironia i głębokie znaczenie o poezji CZESŁAWA MIŁOSZA

Czemu Miłosz unika sądów własnych, wycofuje się, pozostawia sprawę do rozstrzygnięcia czytelnikowi. Czy nie jest dziwna postawa moralisty, który unika wypowiedzenia własnego zdania? Otóż należy powiedzieć, że jest to jedyny znany, sensowny i uzasadniony sposób moralizowania. Jeżeli chcemy, by prawa moralne nas zobowiązywały, muszą być one niezależne od uwarunkowań czasu i miejsca. Jeżeli bowiem założymy, iż pewne prawa moralne, które zobowiązują nas, nie będą zobowiązywały naszych wnuków, musimy dojść do wniosku, że to, co teraz określamy jako moralność, wcale nią nie jest, jest tylko kodeksem obyczajowym, wyrazem naszych historycznie uwarunkowanych poglądów. Stąd wniosek, że autentyczna ocena moralna może być dokonana jedynie z pozycji nie uwarunkowanej ani miejscem ani czasem. Tylko w ten sposób może być „obiektywna”. Czy ktośkolwiek z ludzi może być w ten sposób obiektywny?

Miłosz zrezygnował więc z narzucania czytelnikom swoich osobistych poglądów. Ale przecież nie zrezygnował z etycznych powinności poezji.

Istotą wyboru moralnego jest to, że dokonuje go konkretna jednostka na własną odpowiedzialność. Poeta podsuwając gotowe wzory do naśladowania lub powielania bez względu na to, jakkolwiek ma intencje, działa przeciw moralności, lekceważy bowiem podstawowe jej komponenty: wolny indywidualny wybór i odpowiedzialność. Wybiera ponieważ za czytelnika, ale też — przyjmuje odpowiedzialność za to, co czytelnik za jego namową zrobi.

Cóż więc pozostaje w tej sytuacji pocie — moralista? Jedynie wskazywać na istnienie problematyki moralnej, na konieczność wyboru oraz zbierać argumenty za i przeciw.

Miłosz potrafił wyjątkowo ostro pokazywać moralne aspekty życia i działania człowieka. Poezja jego z pewnością nie ma nic wspólnego z retoryką moralistyczną, ale jest moralistyczna w samej swojej istocie, bowiem zmusza czytelnika, powiedzmy skromniej, usiłuje go nakłonić, by sprawy świata tego rozpatrywał z punktu widzenia etyki. Rozpatrywał — bowiem wnioski i decyzje należą do odbiorcy.

Zapewne niejednemu z nas będzie musiał przełamać nawyki lekturowe wpajane nam przez bardzo silną tradycję, nawyki kształtowane już w dzieciństwie przez szkołę. Przypomnijmy sobie lekcję poświęconą „PIJANSTWU” Krasickiego: wielki poeta Oświecenia oddając swoją twórczość w służbę ojczyźnie — mówiono nam — z ostrą satyrą występował przeciwko pijanństwu. Przypomnijmy: jeden z bohaterów utworu opisuje libację, w której uczestniczył, drugi w odpowiedzi czestuje go „kazaniami”. Zniecierpliwiony pijak odchodzi „napić się wódki”. Zapewne, pijanstwo jest to rzecz zdrowa, ale z drugiej strony, jakże się nie upić z rozpaczy, kiedy człowiek musi wysłuchiwać takich kazań. Satyra Krasickiego jest bardziej złożona, niż to się śniło ogromnej większości tych, co ją czytali i tych, co uczyli nas ją rozumieć.

Rzecz, którą z takim uporem naświetlał, jest banalna. Kiedy słucham jednak lub czytam pierwsze komentarze o poezji Miłosza często spotykam się z traktowaniem zdań wypowiedzianych przez bohaterów jego wierszy jako wyrazu poglądów autora.

Wróćmy jednak do Miłoszowego dyskursu o możliwościach i powinnościach poezji. Jakkolwiek istnieją poważne przesłanki, by mniemać iż „poezja nie jest kwestią moralności”, Miłosz zbiera również argumenty na rzecz tezy przeciwnej. Wcześniej od „NIE WIECEJ” wiersz „KTÓRY SKRZYWDZIŁ”, powtarzając niemal tezy z fragmentu III CZ. DZIADÓW („Człowieku, gdybyś wiedział jaka twój władza”) przypisuje poezji i pocie ogromne możliwości.

Który skrzywdził człowieka prostego Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając, Gromadę białych koło siebie mając Na pomieszanie dobrego i złego, Choćby przed tobą wszyscy się sklonili Cnotę i mądrość tobie przypisując, Złote medale na twoją cześć kując, Radzi, że jeszcze dzień jeden przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta. Możesz go zabić — narodzi się nowy. Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta.

Czytając ten wiersz uczuleni już na pewne sprawy wcześniejszymi analizami nie ośmieliliśmy się mniemać, że Miłosz zapomniał, jak wielu z tych, którzy skrzywdzili nie jednego, ale tysiące, a nawet miliony „prostych ludzi” czczonych jest jako bohaterowie. Czy jednak tak pewnie i z patosem wyrażona wiara w siłę poezji jest bezpodstawną? Czy nie przypomniał się nam ogromna rola naszej poezji romantycznej?

Kiedy myślimy o postawach bohaterów omawianych wierszy, o dyskusji jaką toczą, zapewne odniesiemy wrażenie, że znajdujemy się w teatrze. Każda z postaci jest bardzo silnie ukonkretniona, zindywidualizowana, rolę są podzielone. I podobnie jak w teatrze nie oczekujemy, że na scenę wyjdzie reżyser i powie nam, co on, osobiście sądzi o postaciach i ich poglądach.

Czy jednak Miłosz jest aż tak bardzo nieobecny w swojej poezji. Czy pozostaje nam tylko podziwiać jego mistrzostwo poetyckie i wiedzę o sprawach, o których pisze.

Wątek autobiograficzny jest w tej poezji stale obecny. Początkowo dyskretny potężnieje z biegiem czasu by w ostatnich

wierszach i esejach zdobyć poczesne miejsce. „ZIEMIA ULRO” (1977 r.), swoista autobiografia poety zaczyna się następującymi słowami: „Kim byłem? Kim jestem teraz, po latach, tutaj na Niedźwiedzim Szczycie, w mojej pracowni nad Pacyfikem? Długo odkładam opowieść o niektórych moich duchowych przygodach, napomykając o nich, ale niepewnie i powściągliwie. Aż spostrzegłem, że jest późno, i w dziejach naszej zmałej Ziemi i w dziejach jednego żywota i że pora byłoby przezwyciężyć tę nieufność do czytelnika, która zawsze dawała mi się we znaki”.

Już pewne wiersze w „ŚWIETLE DZIENNYM” wprowadzają nastroj intymności właściwej poufnej i prywatnej rozmowie. Zbiory ostatnie: „MIASTO BEZ IMIENIA” i „GDZIE WSCHODZI SŁONCE I KĘDY ZAPADA” przyniosły lirykę, którą można by nazwać konfesyjną, gdyby przed zbyt pochopnym użyciem tej etykiety nie chroniła nas znajomość wcześniejszej twórczości poety.

Motywy najczęściej przewijającym się przez obydwie wymienione tomy jest Litwa — zapamiętana, przypominana, poznawana w dziełach swojej przeszłości, zestawiana z tym, co poeta wie o jej dniu dzisiejszym, pogównywana z krajoznawcami Ameryki. Jest to najbardziej osobista kraina poety widziana jego oczyma, myślna jego myślami. Jakże romantycznie wygląda ta charakterystyka. Jak bardzo przypomina się nostalgia Mickiewicza piszącego „Pana Tadeusza”. Zapewne, dziwi to po wcześniejszych charakterystykach liryki roli i teorii nowego klasycyzmu. Czy można jednak mówić o jakimś zasadniczym pęknięciu, rozwarciu w tej poezji? Wróćmy do Miłoszowych rozważań o Mickiewiczu, przypomnijmy cytaty otwierające nasz esej, dwa sprzeczne osady o wielkim romantyku.

Kim jest Mickiewicz dla Miłosza? Przede wszystkim genialnym poetą, twórcą najpiękniejszych w polszczyźnie wierszy. Rewelatorem najgłębszych prawd, także w okresie zwanym mistycznym. Geniuszem pełnym zagadek. Wielkim poetą, którego wielkość nie można określić opisując piękno jego wierszy. Przeciwnikiem, który skierował poezję polską na błędne drogi. Duchem obcym w krajoznawczym dzieciństwie i młodości oraz w krajnie pamięci.

Jakże zagadkowo brzmi to wyznanie Litwina napisane w języku polskim: „Litwo, ojczyzno moja”. Dla Mickiewicza było naturalne. Dla Miłosza jest pełne dramatyzmu. Litwa i Polska to już nie części tej samej całości. Osobno budują swoją przeszłość i przyszłość. Cóż więc dzisiaj znaczy dla Miłosza — być wiernym swojemu narodowi i kulturze? Dlaczego Litwin pisze po polsku? Co jest jego dziedzictwem kulturalnym? Skromne piśmiennictwo litewskie czy ogromne w języku polskim. Odpowiedział jednoznacznie: jestem poetą polskim. A jednak w „MIESCIE BEZ IMIENIA”, w tytułowym cyklu wierszy poświęconych Wilnu napisał:

Nie mam w sobie przyjaciela, Czas mnie na dwoje rozdziela.

Podjęta decyzja bowiem nie likwiduje dramatyzmu sytuacji. Jest decyzja, której słusność jest nieustannie podważana przez obraz to zmieniający się czas. „Czas mnie na dwoje rozdziela” uniemożliwiając wierność. A brak wierności to wszak zdrada. Nie inaczej odczuwał Miłosz rozstanie z Polską, swoją emigrację. Przyznaje, iż przez pewien czas myślał o takim rozwiązaniu, jakie wybrał Józef Korzeniowski stając się wielkim pisarzem angielskim, Josephem Conradem. Zaryzykował jednak pisanie „sobie a Muzom” — „bo nie wierzę w możliwość porozumienia poza tym samym językiem i tą samą historyczną tradycją”.

Emigrant, podobnie jak Mickiewicz, Miłosz niejednokrotnie sam wskazuje na zbieżność między losami ich obydwu. Nawet ich rozwój duchowy jest w jakiś sposób paralelny. Głęboka religijność, poszukiwanie „ocalenia”, traktowanie literatury jako czegoś niesamodzielnego, nie wystarczającego dla rozwoju duchowego człowieka, wreszcie zbliżenie do tego, co niedokładnie i niepotrzebnie z odcieniem pejoratywnym nazywamy mistyką. Przyszedł do czytelnikowi Miłosza z pewnością nasuwać się dalsze analogie. Być może będziemy je wyznajdować aż nazbyt gorliwie, aż podobieństwa przysłoną nam różnice. Jakąż jednak pokusą dla umysłu jest porównywanie.

Nie jest to jednak prosta zabawa w analogie, które niczego nie dowodzą. W średniowieczu — pisał Miłosz — „powszechnie odczuwano obecność analogii we wszystkich rzeczach ziemskich (...). Ujęcie symboliczne nie miało wtedy jeszcze cech wyraźnego podziału na znak i określony czy nieokreślony treść, ku której wskazuje, było zespoleniem (...), to, co symboliczne było najbardziej rzeczywiste”.

Wydaje się, iż poeta bardzo pociąga myśl o zespoleniu konkretnego z symbolicznym. W innym miejscu „ZIEMIA ULRO” pisze o poetach, iż „nadal szukają rozpaczyliwie prawdziwego języka, o którym nieświadomie pamiętają — a którym, według mitu o Orfeusz, były postusze zwierzęta i kamienie”. Zapewne nie dozwiera poeta tak dosłownie rozumianym marzeniem o sile poezji. Ale czy rezygnuje z tej myśli? Przypomnijmy wiersz „KTÓRY SKRZYWDZIŁ”, koncepcję poezji, która ocala.

Zwróćmy uwagę na inny ciąg konsekwencji wypływający z tych myśli. Pamiętamy, iż moralistka Miłosza zakładała swoje istnienie na zasadzie konkretnego, jednostkowego i wolnego wyboru dobra, które w swojej ogólnej istocie nie daje się określić. Mówiąc więc o dobru i złu znaczy wskazywać konkretne przypadki wyboru, które na zasadzie analogii i symbolu i jedynie w ten sposób ujawniają to, co ogólne, powszechne. A co jest bardziej rzetelnie konkretne, niż własne doświadczenie. Nie oznacza to aprobaty dla sentymentalnego i wylewnego gadulstwa na własny temat. Miłosza cechuje powściągliwość i wstydlivość uczuć podobnie jak poetów awangardy krakowskiej głoszących tę postawę programowo: bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie, pod nieznosnym przymusem i tylko z nadzieją, że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument.

(„ARS POETICA?”)

Miłosz ostatnich lat wydaje się mimo powściągliwości skrajnie romantyczny, jak w latach tuż powojennych był klasyczny. Czy jednak obydwie tendencje w swoich skrajnościach nie spotykają się. Deklarowana wcześniej zasada ironii artystycznej zmierzająca ku poezji intelektualnej, zmuszającej do myślenia i formułowania wniosków natury ogólnej. Romantyzm, w krańcowych swoich realizacjach również szuka ogólności. Dla romantyka każdy przypadek indywidualny odsłania drogę ku głębokiej istocie rzeczywistości. Kasprzowicz, jak twierdził Stefan Kojałkowski, pilnie analizował swoje wiersze, by wyczytać z nich i poznać prawdę o sobie i świecie.

W końcu i klasyk, starannie usuwając z wiersza siebie, tworząc w tym celu specjalnie wymyślonego bohatera mówiącego, i romantyk pisząc o tych własnych doświadczeniach, które pozwalają dotrzeć do prawdy bytu, tworząc wiersz, który zarazem jest konkretny i symboliczny. Czytając zaś wiersz lub życie poety myślimy analogiami, by zrozumieć jedno i drugie. Stąd tak ważne jest przyzmiere istnienia i myślenia, poezji i filozofii.

Piękny jest ludzki rozum i niezwykły. Ani krata, ni drut, ni oddanie książek na przemiał, Ani wyrok banicji nie mogą nie przeciw niemu. On ustanawia w języku powszechne idee I prowadzi nam rękę, więc piszemy z wielkiej litery Prawdę i Sprawiedliwość, a z malej kłamstwo i krzywdę. On ponad to, co jest, wynosi, co być powinno, Nieprzyjacieli rozpacz, przyjacieli nadziei. On nie zna Żyda ni Greka, niewolnika ni pana, W zarząd oddając nam wspólne gospodarstwo świata. On z plugawego zgłędu dręczonych wyrazów Ocala zdania surowe i jasne.

On mówi nam, że wszystko jest ciągle nowe pod słońcem, Otwiera dłoń zakrzepłą tego, co już było. Piękna i bardzo młoda jest Filo-Sofia I sprzymierzona z nią poezja w służbie Dobrego. Natura ledwo wczoraj świeciła ich narodzin, Wieść o tym górcom przyniosła jednoróżec i echo. Sławna będzie ich przyjaźń, ich czas nie ma granic. Ich wrogowie wydali siebie na zniszczenie.

(„ZAKŁĘCIE”)



W Teatrze Wielkim wystąpi 18 i 19.XI. Holenderski Balet Narodowy. Na zdjęciu: scena z baletu „Cztery temperamenty” Paula Hindermitha. Pośrodku: Francis Sinceretti.

Niespodziewana dla większości Polaków Nagroda Nobla przyznana Czesławowi Miłoszowi postawiła na wokandy rozważań literackich sprawę orientacji polskiego czytelnika w literaturze tworzonej poza granicami kraju. Taka literatura jest faktem — zresztą w naszej dramatycznej historii narodowej, zawsze właściwie istniała literatura emigracyjna.

Mickiewicz także tworzył poza granicami kraju, podobnie jak Norwid, podobnie jak Józef Ignacy Kraszewski, podobnie jak Gombrowicz i Miłosz. Zestawiam te nazwiska świadomy ich różnej rangi, świadomy różnicy epok i motyów wyboru. Polska literatura jest jednak niepodzielna. Pisarz tworzący w języku polskim jest polskim pisarzem i tego faktu nie nie zmienia. W ostatecznym rachunku liczy się tylko i wyłącznie ranga owej twórczości, jej artystyczny kształt, jej moralne, humanistyczne przesłanie.

Obraz polskiego losu zapisany w literaturze będzie zamazany i niepełny jeśli z niego wyłączyć twórczość Miłosza, Lechonia, Wierzyńskiego, Gombrowicza... Tworzyli za granicą — to prawda, ale przecież tworzyli w imieniu tych milionów Polaków, którzy zrzuceniem losu i na skutek wyborów o różnorodnych motywacjach pozostali daleko od ojczystego kraju.

Polski czytelnik ma prawo do tej literatury. W praktyce jednak polski czytelnik lepiej jest zorientowany w sporach między Greta Garbo a Antonim Gronowiczem piszącym po angielsku skandalizującą biografię aktorki — niż w fakcie, że parę lat temu zmarł na Zachodzie Witold Gombrowicz — jeden z najwybitniejszych prozaików współczesnej doby, którego twórczość znana jest wśród elity intelektualnej świata.

Czwierć wieku temu ukazała się co prawda w Polsce „Ferdynand” — miedzywojenna powieść Gombrowicza, ale dziś jest to raczej legenda niż fakt literacki tkwiący w świadomości społecznej. W międzyczasie jednak Gombrowicz zdążył napisać chyba swoją najwybitniejszą książkę — „Dzienniki” — zupełnie w Polsce nieznaną.

W latach minionych panowała praktyka, że wybitny pisarz emigracyjny mógł

(w ograniczonym bardzo stopniu) funkcjonować w kraju poprzez swoje teksty... dopiero po śmierci. Tak było z Lechoniem, tak było z Wierzyńskim. W wypadku Gombrowicza nie zastosowano nawet tej praktyki.

Żeby uniknąć nieporozumień chcę wyraźnie podkreślić, że chodzi mi o tzw. wielką literaturę. Zresztą świadczą o tym wymienione tu nazwiska. Nie chodzi mi o tuzinkowe, czy wyrażnie wrogie pisar-

W obowiązującym stosunku do literatury emigracyjnej było szczególnym paradoksem to, że do jednego worka — przeznaczonego na śmietnik — wrzucono zarówno śmiecie, jak i perły. Zarówno prymitywne, dywersyjne agitki, jak i klejnoty współczesnej literatury polskiej.

Przykładem takiego paradoksu był choćby Marian Czuchnowski, związany przed wojną z KPP, wybitny poeta awangardowy, którego losy wojenne rzuciły do Anglii, gdzie pozostał na stałe. Czuchnowski nie zmienił przekonań, nie zamilił jako poeta, nie uwikłał się w emigracyjne rozgrywki politykierskie... w Londynie pracował jako robotnik fizyczny i tworzył piękne wiersze zawierające w sobie doświadczenie pracy jako perspektywę poznawczą świata, ukazującą przez pryzmat pracy los człowieka.

Mimo to londyński adres Czuchnowskiego sprawił, że jego wiersze (tylko zresztą przedwojenne) mogły się w Polsce ukazać dopiero w roku 1974 w nakładzie... 240 egzemplarzy. Słownie dwustu czterdziestu.

Nawiasem mówiąc ta reedycja debiutanckiego tomu Czuchnowskiego sprzed wojny ukazała się w tzw. Serii Poetyckiej „Generacje” wydawanej poza państwowymi oficynami wydawniczymi i nie była dopuszczona do sprzedaży. W praktyce więc był to wewnętrzny druk bibliofilski. Pierwszy obszerniejszy wybór — także z twórczości emigracyjnej — opublikowano w Wydawnictwie Literackim w roku 1978 w nakładzie 3 tys. egz. Trzydzieści trzy lata czekał wybitny polski poeta, aby jego twórczość w jakiś sposób zaistniała w świadomości Polaków w kraju. A przecież nie było żadnych politycznych czy ideowych powodów, aby tę twórczość przekreślić.

Poliszczyna jest jedna i jedna jest polska literatura. Sądzę, że nie nie powinno stanąć na przeszkodzie włączeniu utworów wybitnych pisarzy emigracyjnych do kanonu współczesnej polskiej literatury. One zresztą w tym kanonie w sposób naturalny tkwią. Tyle tylko, że na półkach osobnej szafy zamkniętej na klucz.

JERZY WILMAŃSKI

KSIAŻKI Z ZAMKNIĘTEJ SZAFY

stwo różnych outsiderów literackich, którzy niegdyś produkowali w kraju przysłowiowe cegły „na tak”, a teraz piszą i publikują za granicą takie same cegły „na nie”. Słabej literatury pisanej pod z góry przyjętą doraźną „tezę” mamy pod dostatkiem w kraju, aby ją importować z zagranicy.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że spora część literatury emigracyjnej ukazuje się w oficynie paryskiej „Kultury”, która — ze względów politycznych — nie może się cieszyć u nas najlepszą opinią. Faktem jest jednak, że oficyna ta obok propagandowych „cegieł” publikuje również dzieła polskich pisarzy emigracyjnych o nieprzemijającej wartości. Jak choćby utwory Czesława Miłosza czy Witolda Gombrowicza.

Chodzi więc o utwory, które są nieodłącznym składnikiem polskiej literatury, które obraz owej literatury wzbogacają zarówno artystycznie jak i moralnie.

czas jest zapowiedź nowości. Naza jutro odbywa się szturm na lada księgarskie. Ale książek nie ma. Czy naprawdę nie nie dociera do Łodzi? Ależ tak, każda nowość trafia do sieci, tylko prawda jest taka, że księgarz też jest czytelnikiem i jeśli do jakiejś księgarni dotrze 5

czno-budowlanego” Neuforta, książka, za którą ustawił się kolejką, a która na giełdzie osiągnęła cenę 1000 zł. Otóż nakład tego podręcznika wydawnictwa „Arkady” wynosił 20 tys. egz. w cenie 150 zł, a do Łodzi dotarło z tego zaledwie 600 egz. Dalej: „Altaj-Himalaje” Reziha w ce-

Właściwie powinienem był napisać, że sprawa wcale się nie przedstawia. Łódzki Dom Książki zaopatruje się w artykuły papiernicze w hurtowni WPHW mieszczącej się przy ul. Teresy 100. Pojęcie „zaopatruje się”, jest także pojęciem czysto umownym, bowiem od dawna WPHW

przebitki, papieru pakunkowego, segregatorów...

Kończy się rok kalendarzowy 1980, od dawna winny być w sprzedaży kalendarze. Owszem, dopiero nadchodzi; połowa z zamówionej ilości. Jak je podzielić?

A propos kalendarzy: odczuwa się ich brak, a jednocześnie obserwuje się absurd wydawniczy polegający na tym, że co roku ilość tematów kalendarzowych (np. psy, koty, grafika itp.) wzrasta. W tym roku czeka nas aż 35 tematów (po kilkadziesiąt egzemplarzy każdego z tematów dotrze do księgarz pod koniec roku). Często są nieudane, brzydkie, wydane niechlujnie. Będą później zalegać magazyny gdyż klienci poszukują zupełnie czegoś innego. Podobnie zalegały kalendarze ścienne, których do Łodzi dotrze 35 tys. sztuk. Będzie dobrze jeśli znajdą się w księgarniach jeszcze w tym roku, a mogą przecież nadejść dopiero w lutym lub później... Co wtedy robić? Przecenić?

Piszę o tym wszystkim nie dlatego, że sprawa przydziałów książek i tak zwanej galanterii papierowej weszła na jaw dopiero teraz. Sytuacja jaka trwa od lat i jakoś nikt dotąd nie pomyślał, aby to zmienić, aby uzdrowić sprawę chorej dystrybucji.

E. IW.

CZYM HANDLUJE DOM KSIAŻKI

lub 10 egzemplarzy poszukiwanego tytułu, to wiadomo, że ani jeden egzemplarz nie trafi na ladę.

Przykłady? Proszę bardzo. Nie tak dawno ukazał się na rynku „Plan m. Łodzi” w cenie 15 zł za sztukę i w nakładzie 70 tys. egz. „Ukazał się” należy traktować dosłownie, bowiem rzeczywiście ukazał się jedynie nielicznym. I zaraz znikł. Nie ma. Łódź otrzymała „Planu” zaledwie 30 tys. sztuk, reszta poszła na kraj. Dziś chcąc kupić „Plan m. Łodzi” trzeba iść do Koszalina, Przemyśla, Wałbrzycha lub Zakopanego. Tam leży, bo mało kogo interesuje.

Szlagierem tegorocznym był „Podręcznik projektowania architektoni-

nie 110 zł. Nakład 15 tys., Łódź otrzymała 740 egz. „Wybór poezji” Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w cenie 40 zł dotarł do Łodzi zaledwie w 580 egz. z 15 tysięcznego nakładu; i ostatnia z poszukiwanych pozycji, to osławiona „Sztuka kochania” Wisłockiej w cenie 90 zł; z całego 50-tysięcznego nakładu, Łódź otrzymała zaledwie 2420 egz. Już samo to zestawienie dowodzi, że coś jest nie tak z przydziałami książek, że Zjednoczenie Księgarstwa stosując swój „klucz” wyraźnie dyskryminuje drugie, co do wielkości, miasto w kraju. A może to nie klucz, tylko zwykła wytręta?

Nie lepiej przedstawia się sprawa zaopatrzenia w artykuły papiernicze.

nie daje tego, co winno dawać Domowi Książki. W dziale wydawnictw artystyczno-graficznych urywają się telefony: dzwonią z sieradzkiego i skierniewickiego, bowiem te dwa województwa zaopatruje Łódź. Pracownicy nieustannie odpowiadają: nie ma. I tak nie ma i nie będzie: także chusteczki higieniczne, papieru śniadaniowego, kalki maszynowej, spinaczy, kartonu, papieru toaletowego, brzościu, plasteliny, serwetek, kredki szkolnych, kredki świecących, kredy, zeszytów 32- i 60-kartkowych, bloków rysunkowych i technicznych, zeszytów do nut, kalki technicznej w rolkach, papieru maszynowego, ręczników papierowych, tuszy kreślarskich, papieru w kratkę,

Kiedy w 1947 roku wypływałem ze Szkocji do Polski przez wiele godzin prześladowało mnie pytanie, czy ja tu jeszcze wrócę.

Wróciłem po trzydziestu trzech latach. W pierwszej chwili wydało mi się, że nie się nie zmieniło, owszem, przybyło Londynowi wieżowców, ale całe ogromne dzielnice mieszkaniowe pozostały piętrowe, bliźniaczo podobne, urzekające i usypiające swoim rytmem. Ale już po paru godzinach idąc wzdłuż starej dobrze mi znanej ulicy, naszpikowanej dziesiątkami nowych sklepów, krzykliwie kolorowych, zmieniłem zdanie.

Po drugiej wojnie światowej do Londynu masowo napływali Żydzi, Arabowie, Afrykanie, Azjaci. I podzielił Londyn, porozrywali jak kawał płótna, na obce sobie dzielnice, jakby właśnie w tym rozbięciu, w zminiaturyzowanych konfliktach rasowych, w kompleksach mniejszości chcieli uwierzyć, na przekór sobie, na przekór Anglikom w imperialną przeszłość Wielkiej Brytanii, i oto Londyn, który znałem lepiej od Warszawy, stał mi się obcy. Zachował pozory, jak dobrze wychowana pannica, która dopiero wieczorem wychodzi na ulicę.

W Stowarzyszeniu Lotników Polskich na Collingham Gardens trafiłem na gorączkowe przygotowania do czterdziestego rocznicy Battle of Britain.

Obchody rocznicowe zaczęły się w sobotę 6 września lampką wina, na którą przybyli przedstawiciele władz miejskich Londynu (w paradnych strojach) merowie Kensington i Hammersmith, lotnicy angielscy, delegacje stowarzyszeń kombatanckich. Było to wzruszające spotkanie starych towarzyszy broni, na uroczystość też bowiem zjechali członkowie stowarzyszenia z Nottingham, Manchester, Blackpool.

Rozglądałem się nerwowo po obecnych, szukałem swoich, wokół słychać było, jakby w ciemni jakiejś, zadawane pytania, czy to ty?... Gdzie teraz mieszkasz?... Co robisz?... Jak ci się ułożyło?... Kto?... On umarł... Pamiętałem był razem z nami w 303. Stopniowo podniecenie spotkaniem ustępowało, do głosu zaczęła dochodzić rzeczywistość. Tematem dnia była Polska. O niej mówiono najwięcej. Anglicy nie kryli swego podziwu, dla taktu z jakim Polacy wobec całego świata rozwiązują swoje trudne problemy. Nie szczędzili mi w oczy z powagą i myśleniem, mój Boże, skąd ja to znam, Churchill też chwalił nas i pouczał, bo miał w tym interes, a jaki interes mają oni.

— „Polacy muszą pamiętać, że istnieje granica ustępstw.”
— Ależ, my ją znamy.
— Jeśli by bowiem...
— Tak, słucham, to co wtedy?
— Nikt nie będzie wam mógł pomóc.
— Ależ my o tym wiemy. Ja nawet specjalnie po to tu przyjechałem, by pamiętać o tej prawdziwej odświeżyć.

Zdziwionych odpowiedzią opuściłem, przeciskając się w ciżbie do swoich, do świeżo wygrzebanych ze wspomnień przyjaciół.
7 września (po Mszy Świętej w polskim kościele samochodami i specjalnie wynajętym autobusem pojechaliśmy do Norfolk gdzie pod pomnikiem Polskich Lotników złożyli wieniec również przedstawiciele sił zbrojnych zachodnich aliantów.

Tę świetnie zorganizowaną uroczystość zakończył stary myśliwiec. Przeleciał nad nami, zakolysał się i znikł, siły starczyło mu zaledwie na jedno okrążenie, on też się zestarzał, jak człowiek, jak my, to ładnie z jego strony.

Z Norfolk wróciłem na wspólny koleżeński obiad.

Z tego pełnego wrażeń dnia zakończonego balem, szczególnie utkwiła mi w pamięci rozmowa z sekretarzem generalnym Stowarzyszenia Lotników Polskich Tadeuszem Krzyskiem.

— Nie wiem, czy ty to rozumiesz, ale my stale musimy przypominać Anglikom i nie tylko im, o naszym uczestnictwie w ostatniej wojnie, o naszych zasługach i ofiarach. Opiekę nad przeszłością, nad tym bogactwem bezprzekładnego poświęcenia, uważamy za nasz obowiązek.

Mówił o tym z pasją, syptał przy-

KAROL OBIDNIAK

IMPRESJE Z ALBIONU

kładami, ale... — Ale my nie tylko stoimy na straży — wtrącił się do rozmowy jeden z bohaterów Battle of Britain, Tadeusz Anders — opiekujemy się również potrzebującymi, dziwisz się, mamy ich wielu, nasza pomoc dociera do najdalszych krańców świata, wszędzie tam skąd dojdzie nas wiadomość o potrzebującym koledze. Chcemy być obecni w radościach i smutkach naszych członków. Mówią, że szczerście to wspólnie dźwiganie ciężarów, staramy się nie pozostawić nikogo sam na sam z ciężarem ponad jego siły.

Kolejne dziesięć dni spędziłem na poszukiwaniach w bibliotekach, w archiwach, dokumentów, materiałów dotyczących Powstania Warszawskiego. Ze znaleźć jest prawie załatwowany, chociaż nigdy jeszcze na poszukiwania literackie nie wydałem tyle z trudem uciulanego na ten cel grosza. Tylko na przejazdy metrem i autobusami wydałem w Londynie ponad dwieście dolarów. Przejazd z mego miejsca zamieszkania, z dzielnicy Acton Town niezbyt odległej od centrum kosztował osiemdziesiąt penów, czyli dwa dolary. Do tego trzeba dodać powrót i jeszcze dwa, trzy przejazdy w centrum i po szaleństwie, czyli po dewizach. Za jeden dzienny wydatek na przejazd w Londynie mógłbym w Łodzi jeździć tramwajami, autobusami przez pół roku.

Gdyby nie gościnność państwa Marii i Krzysztofa Różyckich — Różyckich, jak mówią Anglicy, którzy przyjęli mnie pod swój dach, karmini rano i wieczorem, przyszłoby mi w Londynie porządnie schudnąć.

Na koniec mój pobyt w Anglii weekend zostałem zaproszony do Nottingham przez Marię i Jana Kubitów. Pobrali się tuż po zakończeniu wojny, byłem świadkiem na ich ślubie. Przez wszystkie te lata często o nich myślałem. Dramatyczne przeżycia Marii, jej rodziny powstrzymały ją przed powrotem do kraju. Z prawdziwą przyjemnością przyjąłem ich zaproszenie.

Stykając się z Polakami w Anglii odnosiłem wrażenie, jak gdyby to wszystko, co ich otacza było dekoracją, chwilowym przebraniem, skrywającym staropolską gościnność i tęsknotą za Krajem, wyrażaną w nieoczekiwanych manifestacjach serdeczności. Państwo Kubitowie mają dwie córki, które zdążyły już obdarzyć ich wnukami. Jeden z nich, najstarszy, dziesięcioletni John o trzy lata wyprzedził rówieśników w zdobywaniu wiedzy. W pierwszej

klasie był zaledwie dwa miesiące, a w drugiej niewiele więcej. I chociaż nie mówi po polsku, jest dumny ze swego mieszanego rodowodu. Ojciec Johna popisał się w rozmowie ze mną znajomością historii Polski nieprawdopodobną jak na Anglika.

Rozpływa się ta polskość po obcości, rozplywa, ale jakie nieoczekiwane wydaje owoce.

W sobotę wieczorem Jan zaprosił mnie do wycieczki po mieście. Nottingham jest drugim po Londynie skupiskiem polskich lotników. Tu w czasie wojny zjeżdżała na weekendy, na parę bodaj godzin z sąsiadujących z miastem jednostek, z ośrodka szkoleniowego, lotnicza brała. W oddziale Stowarzyszenia Lotni-

ków Polskich poznałem jednego z tych, którym się powiodło.

Po wojnie, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć, a znając Anglików, ich upodobania i słabości, przystąpił do najtańszej produkcji świata, do hodowli robaków na gnijącym mięsie. Rybacy w Nottingham byli zachwyceni. Interes chwycił. Wkrótce robaki naszego rodaka zdobyły Londyn, Manchester i Liverpool. Stamtąd wyruszyły na podbój USA i Kanady. Łapać ryby na robaki „Made in England”, jaki snob oprze się takiej pokusie. Legła więc Kanada i USA. Produkcja robaków nie należy jednak do przyjemnych dla otoczenia. Czuję ją w promieniu paru kilometrów. Pierwsi do ataku przystąpili miłośnicy świeżego powietrza. I kto wie jak potoczyłyby się losy tej nietuzinkowej produkcji gdyby nie dyplom uznania jaki nasz hodowca otrzymał od królowej za rozwinięcie nowej gałęzi opłacalnego eksportu. Okazuje się, że dobre interesy można robić nawet na gnijącym mięsie, bez zaciągania zagranicznych pożyczek, jeśli się ma dość wyobraźni i fantazji. Ostatnio rewelacyjnie unowocześnił swoją produkcję, stwierdził bowiem na własnej wędeck, że ryby lepiej biorą na robaki kolorowe. Przystąpił więc natychmiast do masowego ich farbowania. W sposób genialnie prosty, drogę do gnijącego żeru przegrodził strumieniem czerwonej farby. Wzrost kosztów produkcji i dodatkowy wyśitek zrekomensował sobie przez znaczne podwyższenie cen nowego ekskluzywnego robaka, wyprodukowanego specjalnie dla znawców, dobrego na każdą pogodę.

Pod koniec pobytu odwiedziłem Royal Academy of Dramatic Art, moją pierwszą wyższą uczelnię. Tylko jeden z 28 moich kolegów, z którymi studiowałem, utrzymał się w teatrze, Harold Goodwin. Reszta rozmyślała się w życiu, zgasiła po jednym, dwóch sezonach.

W Anglii aktorzy żyją od sztuki do sztuki. Angażuje ich przedsiębiorca na konkretne występy, ale nawet mając taką umowę w kieszeni nie jest się pewnym swego. Podobnie bowiem jak u nas despotą ostatecznym jest reżyser, który tyra ludźmi do upadłego według własnego widzimisię. Tam nikt nie bawi się w analizę sztuki, jej klimatu, postaci dramatu. Aktor dostaje rolę i ma grać, od pierwszej chwili bez namysłu, od razu, żeby było widać co i jak. A jeśli się potknie, zawaha, bądź zacznie myśleć, koniec, na je-

go miejsce czekają już inni. Tylko wielcy próbują na innych prawach. Pomiedzy nimi, a siłami pomocniczymi jest przepaść. Ogromna większość aktorów zarabia więc na życie jako kelnerzy, taksówkarze, dniówkowi pracownicy do wszelkich poruczeń. W urzędach zatrudnienia pytają o zawód, a nie o hobby. Wygląda to tak:

— Co pan umie?
— Jestem aktorem.

— Ja się nie pytam czym się pan zabawia, a co pan umie.

— Już mówiłem, jestem aktorem.
— Już słyszałem. Ale co pan umie robić, jaki jest pana zawód?
Występujący artysta jest nikim, kończąc naukę aktorstwa ma zaledwie jedną szansę na to, że będzie mógł wystąpić na scenie. Czyha więc na swoją okazję. Czai się. Czeka na nią również Krzysztof. Pierwszy aktor polskiej sceny w Londynie i jej główny już reżyser. Czy mu się uda? Zycze mu tego z całego serca!

Ostatnie dwa dni spędziłem na spotkaniach z ludźmi, którzy już wielokrotnie pisali na interesujący mnie temat. Należało do nich również prezesa Związku Pisarzy Polskich w Anglii, Józef Garliński. Garliński pisze z równą biegłością po polsku i po angielsku. W powieściach adresowanych głównie do czytelników angielskich i amerykańskich wątki obce splata z naszymi. Przypomina, utrwała w pamięci nazwiska polskich bohaterów, wpisanych w historię „Emigry”. „Ostatniej broni Hitlera”. (Rzecz o V-1, i V-2). Powieści Garlińskiego są świetnie udokumentowane. Na przykład „S.O.S.” napisane żywo z ujmującą prostotą, niewyszukaną prozą, surową i szlachetną zarazem. Wartka akcja przykuwa uwagę. Czyta się je jednym tchem.

Rozmowę naszą zakończył dramatycznym pytaniem: „I co — co pan chce przez napisanie tej sztuki osiągnąć?”

„Chcę pokazać, że nam Polakom nie wolno liczyć na niczyją pomoc, a przypominanie tej prawdy wydaje mi się teraz bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Wyczuwałem ją zresztą we wszystkich rozmowach z Anglikami”.

Nigdy nie przypuszczałem, że pani Thatcher jest do tego stopnia typową Angielką: na ulicach Londynu bowiem spotkałem przynajmniej dziesięć bliźniaczy do niej podobnych pań. Nie mówiąc już o aktorze portretującej ją w programach telewizyjnych.



Londyn. Widok z Tamizy na Westminster.

TYDZIEŃ W POLITYCE

i Józefa Piłkowskiego służyła wymianie poglądów na temat dalszego rozwoju stosunków polsko-radzieckich.

Komunikat o tej wizycie stwierdza, że od ponad 35 lat żywotnym interesem obu narodów niezawodnie służy Układ o Przyjaźni i Współpracy i Pomocy Wzajemnej, Polska i ZSRR pomyślnie współpracują też w ramach dwóch organizacji: Układu Warszawskiego i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej „Przywódcy polscy i radzieccy — czytamy w komunikacie — wyrażili zdecydowaną wolę utrzymania nierozłącznych braterskich więzi, jakie łączą oba narody”.

W toku rozmów wiele uwagi poświęcono problematyce gospodarczej. Z naszej strony przedstawiliśmy koncepcję pełniejszego wykorzystania zdolności polskiego przemysłu. Osiąg-

nięto porozumienie w sprawie opracowania programów ekonomicznych w najważniejszych sprawach na okres najbliższy i na przyszłość. Duże możliwości wynikają tutaj z pełniejszego wykorzystania potencjałów naukowo-technicznych obu krajów z myślą przede wszystkim o rolnictwie, zwiększeniu przez nie produkcji i lepszym zaspokajaniu potrzeb ludności.

W części rozmów dotyczącej wymiany informacji L. Breżniew mówił o przygotowaniu do XXVI Zjazdu KPZR, a S. Kania o przebiegu realizacji uchwał VI Plenum KC oraz o wysiłkach, zmierzających do ustabilizowania sytuacji w kraju. Radziecki przywódca wyraził przekonanie, że komunizm i ludzkie sprawy Polski potrafią przezwyciężyć ostre problemy polityczne i ekonomiczne, jakie się wyłoniły.

Uczestnicy spotkania potępił różne próby działalności dywersyjnej przeciwko Polsce, podejmowane przez koła imperialistyczne. Jakkolwiek próba ingerencji w wewnętrzne sprawy sprzeczna jest z Aktem Końcowym KBWE, godzi w pokój i współpracę na naszym kontynencie.

Niedawno zakończyła się w Warszawie narada Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych państw członkowskich Układu Warszawskiego. Wiemy, że dyskutowano na niej przede wszystkim przygotowania do listopadowego spotkania przedstawicieli państw, które złożyły swe podpisy pod Aktem Końcowym KBWE. L. Breżniew i S. Kania wyrażili zadowolenie i wyniki warszawskiej debaty i podkreślili, że jest

ona kolejnym dowodem dobrej woli krajów socjalistycznych, które żywotnie zainteresowane są poczynieniem postępów w Europie w kierunku dalszego odprężenia i współpracy.

Przedmiotem rozmowy były również inne aktualne problemy sytuacji międzynarodowej, a przede wszystkim w dziedzinie rozbrojenia ZSRR i inne kraje socjalistycznej wspólnoty przedkładały konstruktywny program powstrzymania wyścigu zbrojeń i wejścia na drogę rozbrojenia.

Rozmowy polsko-radzieckie w Moskwie wzbudziły duże zainteresowanie. W komentarzach podkreśla się partnerskie stosunki, jakie łączą oba kraje, jedność celów oraz wspólne inicjowanie przedsięwzięć pokojowych na kontynencie europejskim. Zauważa się, że było to pierwsze spotkanie Stanisława Kania z Leonidem Breżniewem po VI Plenum KC, a więc po zmianie i sekretarza KC KPZR. Po raz pierwszy też w rozmowach uczestniczył N. Tichonow jako premier rządu radzieckiego.

11 listopada, jak wiadomo, w Madrycie rozpoczyna się drugie spotkanie sygnatariuszy Aktu Końcowego. Od kilkunastu dni, o czym pisaliśmy na tym miejscu, toczą się rozmowy

przygotowawcze do tego spotkania. Przez pewien czas nie osiągnięto postępu w pracach. Dopiero w ubiegłym tygodniu sytuacja uległa korzystnej zmianie.

Radziecka propozycja zakłada teraz, aby rozmowy w Madrycie prowadzone były w dwóch etapach, z których pierwszy — do 19 grudnia poświęcony byłby dyskusji nad wypełnieniem postanowień Aktu Końcowego w okresie od spotkania w Belgradzie oraz propozycjom umocnienia bezpieczeństwa i współpracy, a drugi, po przerwie świąteczno-noworocznej — redagowaniu decyzji, które przybrałyby formę dokumentu końcowego. Ta propozycja została poparta w wielu wystąpieniach, m.in. delegacji USA, Francji, Belgii, Holandii — z tym jednak że niektórzy wyrażają zainteresowanie wydłużeniem czasu debaty na początek przyszłego roku.

Jest to z pewnością sprawa do uzgodnienia, bowiem sukces spotkania mierzyć się będzie nie tyle czasem trwania dyskusji, ile jej rezultatami. Oczywiście — takimi konkretnymi postanowieniami zainteresowani jesteśmy jak najwcześniej. Polska oczekuje na przykład, że madryckie spotkanie podejmie decyzję o zwołaniu ogólnoeuropejskiej konferencji na temat odprężenia militarnego i rozbrojenia.

W. SŁAWSKI

„Czy są jeszcze w naszym języku jakieś całkiem czyste, nigdy nie skompromitowane słowa? Może je znaleźć wreszcie...” — pisał Dorota Terakowska w „Przekroju”, w reportażu z Huty im. Lenina. W reportażu tak smutnym, że aż tragicznym. Bo i cytowane westchnienie jest przecież wstrząsające tragiczne: Czy są słowa, których nigdy nie skompromitowano?

Można wydrwić i zamienić w bzdurę każdą sprawę, ujmując ją w słowa przewrotne, wredne, pełne kpiących przysmieszek i aluzji: to słowna metoda oplukiwania. Można też obrzydzić każdą rzecz, owiniąwszy ją jak w brudny bandaż, byle jakiś prostactki slogan, powtarzany następnie milion razy z tępy uporem. Jedną z chińskich tortur było podobno poddanie delikwenta miarowemu kąpieli z wody, której nie mógł uchylić. Po wielu godzinach takiego kap-kap delikwent popadał w furję. A przecież gadanie to też czasem taka operacja, od której uciec nie można. I te natrętne słowa — liczmany, słowa — wytrychy, zaklęcia, maski, za którymi kryją się już świeże kłedy treści, ulotniły się; maski chodzą po świecie dalej...

To tragiczna prawda: bardzo już trudno o czystą, szczerą mowę. Bardzo trudno o zyczajną rozmowę, kiedy nie

wiadomo, czy ma się przed sobą twarz czy maskę. Toczy się przez kraj ogromna lawina dyskusji, ale już i ten termin: „dyskusja” — ciągnie za sobą smugę podejrzanych zapachów. Często to jest gadanina, nie dyskusja, a jeszcze częściej — jakże trudno to wyznać — wszystko co się mówi nadal jakoś nie odzwierciedla prawdziwego stanu umysłów. Jest czymś obok, czymś nie do końca rzetelnym, autentycznym. Człowiek zabierający z werwą głos na zebraniu wychodzi i w kuluarach komentuje własne słowa jak nie własne, pokpi-

z huty: „Dyktują mi całe sformułowania — negocjując między sobą każde zdanie, ba, każde słowo — „i przed drukiem chcemy to przeczytać!”.

Robotnicy najpierw „negocjują (!)”, a potem dyktują dziennikarce artykuł. Chcą go po napisaniu sprawdzić, choć to nie mają być ich wypowiedzi, tylko jej własny reportaż. Dziennikarce kają się od Bałtyku po Tatry, redakcje wstydem przyznają, że tak i tak kazano im pisać. Teraz też mają pisać tak i tak: „dyktują mi całe sformułowania...” Gdzie są, czyste autentyczne,

wany, gdyby mi inna redaktorka (to jest fakt autentyczny, ogłoszony przez tę redaktorkę z wielką dumą na łamach „Kultury”) chciała bić brawo za to, że jej nie wpuszciliśmy na salę obrad. Uważałbym za stratę czasu wielogodzinną dyskusję „bez żadnego tematu”, jak to uczynił na całej kolumnie „Głos Robotniczy”.

„Wszyscy jesteśmy winni, bośmy się godzili!” — pisze Lucjan Bogusz w tymże „Głosie Robotniczym”. To jest ta sama filozofia, która winę za masowe eksterminacje chciała rozłożyć po równo na oprawców i ich ofiary; mogły się nie godzić. Kiedy wszyscy są winni — nikt nie jest winien. Nie zgadzam się na taką postawę i nie podpiszę się pod deklaracją redaktora Bogusza. Myślę, że wielu było takich, co się nie godzili. Ten ich brak zgody narastał, potężniał, aż dojrzał. Inaczej nie by się nigdy nie zmieniło. Ale i to prawda, że wielu było takich, których obowiązkiem było nie godzić się, a nie czynić tego. Obowiązkiem ideowym, organizacyjnym, partyjnym, moralnym. Nie trzeba jednak używać zaimek „wszyscyśmy”, bo to, delikatnie mówiąc, nieaktowne.

A tak w ogóle to smutno. Czy są jakieś czyste, nie skompromitowane słowa?

CWIĘK

WSZYSTCYŚMY?

wa z nich. Słowo „postulat” fruwa gęsto po każdej sali i przez łamy wszystkich dzienników. Byłem w pewnej wiosce z małym zespołem estradowym. Miejscowy działacz zwrócił się do nas z wielką powagą w głosie: „Jest postulat, żeby zespół wystąpił na boisku, a nie w sali”. Padła deszcz, ale na zaklęcie „postulat” zespół „udał się” posłuszenie na boisko.

Redaktor Dorota Terakowska pisze w swym reportażu

prawdziwe, własne, przez nikogo nie dyktowane słowa?

„Czy aby straty gospodarcze nie będą łatwiejsze do odrobienia niż moralne? Trudniej będzie uporządkować fabryki czy usunąć przeszkody w ludziach? I czy uda się wzmacnić te leciutkie nie zaufania?”

To także słowa Terakowskiej. Myślę, że nie miałbym wiele zaufania do dziennikarza, który pisałby swoje reportaże pod moje dyktando. Myślę, że byłbym mocno zażeno-

W środę, 5 listopada 1980 roku, późnym wieczorem znów na ekranach naszych telewizorów zobaczymy piłkarzy Widzewa, jak będą grali z piłkarzami Juventusa. Tym razem mecz rozegrany będzie w Turynie. Piszę o tym przed środą, a ten numer „Odgłosów” ukaże się w czwartek, kiedy już wszyscy będziemy znali wynik meczu i będziemy wiedzieli, czy piłkarze RTS Widzew awansują do następnej rundy europejskich pucharów, czy też nie. Dziś można sobie tylko wróżyć. Ale mnie nie chce się bawić we wróżkę, więc tylko przypomnę, że Widzew grał znakomicie z tymże Juventusem w Łodzi, że do tej pory prowadzi w ligowych rozgrywkach i nie przegrał jeszcze ani jednego meczu. W tej rundzie oczywiście. Jest to więc bez wątpienia jedyna, najlepsza polska drużyna piłki nożnej. Świadczy o tym również i to, że tylko piłkarze RTS Widzew zostali jeszcze w pucharowych drużynach, a pozostałe drużyny z Szombierkami chyba łącznie, już odpadły. Jak co roku zresztą.

Ale z tych faktów, które wszyscy kibice piłki nożnej dobrze znają, zupełnie nic nie wynika. Cóż z tego, że mamy kilkunastu dobrych piłkarzy, którym chce się jeszcze grać w piłkę, że mamy jedną dobrą drużynę, której chce się bronić honoru polskiej piłki nożnej, skoro cała reszta jest nijaka, skoro nadal nie mamy reprezentacyjnej jedenastki, mimo różnych wysiłków trenera Ryszarda Kułeszy. Piłkarzom RTS Widzew życząc jak najlepiej i tak chyba życzy im większość kibiców, choć koło tego klubu robiło się wiele niepotrzebnego szumu. Ale tak to już bywa, że nie lubi się tych, którym zaczyna się wieść. Życzę więc Widzewowi dalszych sukcesów, ale ciągle pamiętam, że „jedna piłkarska wiosna nie czyni”. I dlatego, na przykład, ciągle nie wiem, czy nasza reprezentacyjna jedenastka, pod wodzą Ryszarda Kułeszy, przeskoczy Małtę, czy nie? Z NRD może już być zupełnie kłopot.

Dlaczego? Gdzie tkwią przyczyny kryzysu polskiej piłki nożnej? Nie wiem, czy wywiady udzielone „Szpilkom”, a już szczególnie Józefowi Prutkowskemu można traktować poważnie, ale zarysuję. Otóż w ostatnich „Szpilkach” (nr 44, 2.XI.1980 r.) o piłce nożnej wypowiada się w rozmowie z Józefem Prutkowskim wiceprezes PZPN, Henryk Celak. Wiceprezes mówi słusznie, że nawet wicemistrzostwo Europy juniorów nie jeszcze nie znaczy, bo o poziomie gry w piłkę decyduje to, „jak gra dzielna drużyna juniorów”. I jako przykład stawia CSRS i NRD, „gdzie zawodnik jest inteligentnie holowany z III ligi do ekstraklasy”. A dlaczego u nas tak nie można?

„Bo między owym talentem — mówi wiceprezes H. Celak — a PZPN istnieje mafia cwaniaków, macherów, szolbyznosnów,

NIC NOWEGO

którzy polują na rodziców utalentowanego juniorka, obiecują świetlaną przyszłość, „załatwienie” matury, chatę i szkołę. A po paru latach nie ma utalentowanego stopera czy napastnika, jest stary dwudziestolatek, rozgoryczony cynik, starający się utrzymać jakoś na powierzchni aż do czasu, kiedy stuknie trzydziestka i droga na „saksy”.

I wiceprezes H. Celak opowiedział o zdolnym piłkarzu ze Stoczni, który jest skrajnie chowany przed kaperownikami, a jest to talent klasy Zbigniewa Bońka czy Kazimierza Dęny. I już mógłby nas reprezentować w Hiszpanii, jeśli byśmy się tam dostali. W co szczerze wątpię. Ale PZPN jest bezradny. Nie bardzo wie, jak sobie poradzić z tym talentem, aby go nie zmarnować, bo w PZPN nie ma sprawnie działającego systemu kształcenia młodych piłkarzy. Jest natomiast system nagradzania, płacenia i demoralizowania.

To nie jest żadne oskarżenie gołosłowne. Na poparcie mam fakt przytoczony przez „Przegląd Sportowy”.

„To fakt, nie anegdota. Kiedyś reprezentantowi kraju zepsuł się w domu kran. Co trzeba było zrobić? Wiadomo — zadzwonić. Tyle tylko, że bohater boiskowych bojów nie wpadł na to, by wykreślić numer administracji, czy zwać ją hydrauliką. Nie, zadzwonił do działacza i dopiero ten wszystko załatwił”.

A nie jest to przecież przykład odosobniony. Kiedyś nawet ktoś chwalił się, jaka to wspaniała atmosfera panuje w drużynie, bo chłopcy z wszystkich przychodzą do trenera i działacza. I to była prawda, tylko, że ta atmosfera zamieniła się w pewien system wyręczania i zastępowania młodych ludzi, którzy uczyli się szybko, że są tacy, którzy wszystko za nich zrobią. Wychowano kaleki, które skończywszy ze sportem mają trudności z adaptacją w normalnym życiu.

Władysław Komar wystąpił na łamach „Życia Warszawy” z dramatycznym protestem przeciw temu, aby sportowcy też pracowali. Jeśli tak — twierdził — to wystąpmy z MKOl, bo już żadnych sukcesów na olimpiadach nie będzie. Sportowiec, wyczerany, musi ciężko trenować i nie może iść do pracy. Powiedzmy, Zrozumiałe, że wybitnym talentem trzeba stwarzać dobre warunki, ale jest przecież młodzież sportowa, są juniorzy. To może ich też zwolnić ze szkoły i za nich odrabiać lekcje? Nie. Musi po prostu być stworzony taki system, aby talenty sportowe mogły się rozwijać, a charaktery nie wypaczać. Podobno na świecie już coś takiego wymyślono.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

Także „Odgłosowe” reportaże i artykuły — od jakiegoś czasu — stały się przedmiotem rozmów przy rozmaitych okazjach. Fragmenty z tych reportaży bywają przywoływane jako argument w dyskusjach, na zebraniach, w rodaków pogwarkach. Zanim kupięm ostatni numer, już mnie ktoś zagadnął: „Czy czytał pan w „Odgłosach” jak się powodziło psu wojewody?”. Sądziłem zrazu, że to jakiś kolejny witz à propos. Jednak nie. Mój rozmówca nie bez satysfakcji zaczął opisywać mi psa budo, że to jej system ogrzewniczy już to dekoracyjne marmury itd. Zastanowiła mnie ludzka dociekliwość. Otóż okazuje się — myślałem sobie — że nasi obywatele przyglądają się uważnie nie tylko willom, ale i psim budom. Aby poznać szczegóły, czym prędzej udałem się na poszukiwanie (sic!) „Odgłosów”. I rzeczywiście znalazłem w nich rozmowę Jacka Indelaka z wojewodą piotrkowskim, z której wynikało, że nie dość iż nie ma żadnej ekskluzywnej budy, ale i wojewoda nigdy nie miał psa.

Zaczęłem od tej sprawy, przeczytanej przecież, a nie obejrzanej w telewizji, nie bez przyczyny. W naszej rozgłoszonej rzeczywistości jest bowiem więcej takich „psów wojewody”, czyli półprawd, barwnych plotek, informacji w stylu „słyszeli, że dzwonią, tylko nie wiedzą w którym kościele”. Dobrze zatem, iż telewizyjna publicystyka, nie ograniczając swoich funkcji informacyjnych tak kształtuje swoje programy, aby wyjaśnić, dociec, do informacyjnych źródeł, odpowiadać na napływające do TV pytania. Jednak z komentarzy i rozmów, jakie toczą się po tych programach, wynika, iż telewizywnie nie tak łatwo odzyskują zaufanie do wiadomości, które z małego ekranu płyną. Przyczyny takiego stanu ducha niewiary zakorzenione są w przeszłości, owa niewiara narastała z pięciociecz na pięciociecz. Istniały u nas — by tak określić — dwa porządki informacji, coraz bardziej względem siebie sprzeczne: porządek ofi-

cialny (tu telewizja miała swój udział najznaczniejszy) i porządek potoczny, wynikający z obserwacji tego co wokół nas rzeczywiście się dzieje. Dlatego też dzisiaj, jeśli się mówi w „Listach o gospodarce” (31 X), a jest to program uważnie oglądany, na temat sytuacji w handlu mięsem, to telewizor bez większego przekonania słucha informacji, iż Polska eksportuje zaledwie 5 procent całej swojej produkcji. Przykładem kobiety z kolekcji, z którą rozmawiał reporter: jest absolutnie przekonana, że gdybyśmy eksportowali tylko 50 procent, to ta pozostała połowa zdecydowanie zaspokoiłaby potrzeby krajowe. Oglądając ten fragment „Listów o gospodarce” z wiarą w rzetelność przekazywanych objaśnień. Jednak — co się potwierdziło w rozmowach na temat tej

czywiście potrzebna i szczególnie społecznie użyteczna. Musi być jednak solidnie przygotowywana, tak aby nie była źródłem kolejnych pytań. Jeśli nie starcza dziesięciu minut na jakiś problem, to trzeba chyba skupić się na jednej sprawie i poświęcić jej tyle czasu ile potrzeba.

Znużony francuskim filmem historycznym „Rok 1788” przełączyłem odbiornik na drugi program. Tam właśnie Naczelna Redakcja Programów Oświatowych zainicjowała cykl pod tytułem „Ekspertyza PAN”. Pierwsza audycja (niedziela, 2 XI) poświęcona była energetyce, jej stanowi obecnemu perspektywom i prognozom. Realia tej gałęzi przemysłu (mówiono o niej w szerokim kontekście ekonomicznym i — co ważne — społecznym) są tak dalece nieoptymistyczne, że redaktorzy —

PIES WOJEWODY

audycji — ów fragment mógł wywołać kolejne wątpliwości. Pokazano w nim przecież zakłady mięsne w Rawie Mazowieckiej, z których — jak wynikało z rozmów z robotnikami — cała produkcja wysyłana jest na eksport. Należałoby chyba powiedzieć dlaczego. Druga sprawa to wyjaśnienia urzędnika centrali handlowej, który opowiadał, że za jedną tonę naszego mięsa sprzedanego za granicę, możemy także zakupić dwie tony. No jeśli tak, to jak to właściwie jest?

Nie będę się wdawał w dalsze szczegóły, nie starcza mi ekonomicznej wyobraźni (to samo mogę powiedzieć o importerach luksusowych artykułów kosztownych pierwszej potrzeby np. leków) a że rozpisalem się o „Listach o gospodarce” to tylko dlatego, że jest ta audycja rze-

starym zwyczajem — przed audycją, postanowili stonować ewentualne reakcje telewidowni. Rzeczywiście, po latach „smych sukcesów” niełatwo nam przychodziło rozumienie obecnego stanu. Jeszcze musi upłynąć trochę czasu zanim nauczymy się wierzyć w ziele wiadomości. Tymczasem uczmy się pilnie, czytamy pilnie i oglądajmy tv uważnie. Wówczas rozmaite opowieści o „psie wojewody” staną się rzeczywistością anegdotą. Ale à propos. Czy zauważyliście drodzy Czytelnicy „ogłoszenie drobne” w „Głosie Robotniczym”: „Posiadam nóż do krojenia. Oczekuję propozycji”. Tak myślę, żart to, czy poważna kunięcka oferta? A swoją drogą, coraz zbędniejsze stała się noże do krojenia.

GRZEGORZ GAZDA



BYK TO JEST TO!

„Wiadomości Skierniewickie” (nr 9, 30.X.1980 r., rubryka „Kurier Warszawsko-Wiedeński”) wystąpiły w obronie krów, którym nie odpowiadają „usługi inseminatorów”. Krowy po kilka razy korzystają z ich usług i nie”. Okazuje się, że „zamrożone nasienie jest do kitu”. I dlatego „Kurier Warszawsko-Wiedeński” pisze: „Krowy apelują więc za naszym pośrednictwem — dajcie nam prawdziwe byki. Bo byk, proszę państwa, to jest to.” Otóż to!!!

ZXY

HASŁO NUMERU: OGARY POSZŁY W LAS. I POLUJĄ NA MYSLIWYCH!

Kłopot z „POGORIĄ”

Przysłowie mówi: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosie”. Dziś prosie to nie kłopot, a bogactwo. Gwarantuję, że jak z proszka wyrosnie dorodna świnią, to i mięso będzie, golonka słonna. Ale Telewizja Polska nie kupiła sobie proszka, przynajmniej nie o tym mi nie wiadomo, kupiła sobie żaglowiec „POGORIĄ”. I teraz ma z tym kłopot. Co z tym fantem zrobić?

Nieustannie powtarza się, że „Pogoria” miała dać młodzieży posmakować morza. Czy aby napie się piwa trzeba zaraz kupować cały browar? Czy w Polsce nie ma różnych klubów i towarzystw żeglarskich? Jest na przykład Polski Związek Żeglarski, czy więc nie on powinien posiadać jachty i żaglowce, które udostępniałby różnym Bractwom Żelaznej Szekli i czy to nie winiłobyby taniej, niż utrzymywanie żagłowca przez TVP? Takich pytań można postawić więcej. Trwa dyskusja wokół „Pogorii”.

Ostatnio z propozycją kupna „Pogorii” wystąpiły Polskie Linie Oceaniczne. Kupiłby „Pogorie” dla uczniów Liceum Morskiego w Gdyni. Uczniowie tego liceum odbywaliby praktyki na żagłowcu. Mogliby on też być udostępniany Bractwu Żelaznej Szekli. I to jest pomysł.

A swoją drogą pytanie: czy Telewizja Polska musi koniecznie być instytucją, która zajmuje się wszystkim, zastępuje kogo może zamiast robić dobry program? Czekamy na odpowiedź! Sz. Łądowy

Miałem okropny sen. Śniło mi się, że jestem na pagórkowatej pustyni. I nagle zza pagórków wypływa po niebie cała flotylla UFO. Po czystym, bezchmurnym niebie płyną trójkami jasniejące bielejącym światłem krążki okolonie pomarańczowym pasem. Całe niebo jasnieje tymi sunącymi z wolna obiektami. W pustynnej ciszy rozlega się coś jakby leciutki, ale

SEN I JAWA

przejmujący poświt. Zobaczą mnie — myślę — wyładują i zabiorą. Nie mam zupełnie na to ochoty i wcale się sobie nie dziwię.

Obudziłem się z radością, że to tylko był sen. Ale później przeglądając gazety zastanowiłem się, że ostatnio faktycznie zupełnie nie było doniesień o UFO. Czyżby dlatego że mamy inne kłopoty i głowy nasze są zasnuwane poważniejszymi problemami. Czyżby UFO było do skonsumowania sposobem zajmowania ludzkiej uwagi, kiedy chce się ją odwrócić od innych spraw? Chyba nie. Ale coś w tym jest. Może przypadek. A może więcej patrzyamy wokół siebie, a mniej zwracamy głowy do góry. Może.

Z pocztą 1/3 ZAGADKA

Janina Rybka z Pabianic pyta w liście do nas skierowanym: „Co to za nowy skrót, który napisałicie w ostatnim numerze 1/3? Co znaczy CBRUS? I dlaczego jest zbędny? Czy nie dość tych skrótów? Człowiek się w tym gubi, przez te skróty różne wiadomości stają się nieczytelne”. Odpowiadamy. Istotnie skrótów nam nie brakuje. Ale w sprawie CBRUSU zasłoby małe nieporozumienie. Żeby je wyjaśnić przytoczymy całe hasło z poprzedniego numeru „Odgłosów”, na łamach których publikuje się „1/3”. „STOLICZKU NAKRYJ SIĘ! CBRUS ZBĘDNY!” CBRUS nie jest więc żadnym skrótem, to tylko dzieło chochlika drukarskiego, który od lat grasuje w każdej drukarni. Prawidłowe brzmienie hasła numeru wygląda tak: „STOLICZKU NAKRYJ SIĘ! OBRUS ZBĘDNY!”

W imieniu chochlika przepraszamy!

„1/3”



Rys. Andrzej Adamowicz